# MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 12. WARSZAWA, 24 MARCA 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.


# ANALOGJE Z PRZESZŁOŚCI

ZASADĄ, że *historia est magistra vitae* posługuje się nieraz polityka w sposób bardzo niewybredny. Przykłady z przeszłości przytacza się często w aktualnym celu, by mieć argument w codziennych walkach. Przykłady te dobiera się dowolnie, nieściśle, zniekształcając przeszłość. Im kto ma mniej zmysłu historycznego, mniej znajomości historji, z tem większą bezceremonjalnością grasuje po rozłogach dziejów. Wystarczy przypomnieć porównywanie obecnej uchwalanej konstytucji z Konstytucją 3 maja. A już najchętniej uzasadnia się każdą niemal dowolność władzy administracyjnej, każde naruszenie prawa argumentem, że chodzi tu albo o wyplenienie nałogów niewoli, albo też o walkę z tradycjami dawnej swawoli, czy złotej wolności szlacheckiej.

Wiele badań poświęcono naszym dziejom, ale mimo to sporo zagadnień nie zostało jeszcze wyświetlonych. Najsumienniejsi nawet historycy patrzą na przeszłość przez szkła teraźniejszości; nikt nie potrafi wyzwolić się w całej pełni od uprzedzeń i tendencyj swojej epoki. Sądy o przeszłości zmieniały się nieraz, zależnie od chwili, w której powstawały. Upadek dawnej Polski budził z jednej strony potrzebę „podtrzymywania" ducha i wywoływał gloryfikację przeszłości, a z drugiej strony ton zbytnio oskarżycielski; doszukiwano się czasem win tam, gdzie ich naprawdę nie było. Nieraz zbyt arbitralnie potępiano instytucje, które były koniecznym produktem dziejowego rozwoju, które spełniły swoje dziejowe przeznaczenie, a dopiero później zwyrodniały. Gdy się do badań historycznych zabierzemy na podstawie bardziej pełnego materjału, z poczuciem historycznej perspektywy, nie przenosząc w odległą przeszłość dzisiejszych pojęć i postulatów, wówczas unikniemy nazbyt łatwych uogólnień i powierzchownych sądów, które wulgaryzują historycy i politycy *ad usum Delphini*.

Zilustrujmy to na bardzo pospolitym przykładzie. Najczęściej piorunuje się na wolność szlachecką, na wszechwładzę sejmów, na dawne polskie „sejmowładztwo". Niewątpliwie brak silnej władzy wykonawczej był źródłem wielu nieszczęść. Ale przecież całemi dziesiątkami lat nie były czynne Sejmy w Polsce, a wtedy było najgorzej; działo się tak, jak wiadomo, za Sasów. A następnie warto zastanowić się nad pytaniem: czy rozwój polskiego parlamentaryzmu, tej demokracji szlacheckiej, nie łączył się ściśle z wewnętrznem jednoczeniem Polski, poprostu z formowaniem się narodu polskiego? Trudno wielbić równocześnie unję Polski z Litwa, ową „*L'annexion d'autrefois*", o której pisał Klaczko, a zapominać, że podstawą jedności stało się zrównanie szlachty litewskiej w prawach ze szlachtą polską. Gdyby w Polsce w owym czasie była władza absolutna, nie możnaby było dokonać unji, a tylko podboju.

Można nad tem ubolewać, że w początkach w. XVI nie utrwaliła się władza możnowładztwa, reprentowanego w senacie, a doszedł do głosu tłum szlachecki. Ale czy później ta masa szlachecka nie była cennym pierwiastkiem, który jednoczył państwo, który przeciwstawiał się odśrod-

kowym dążnościom różnych ambitnych możnowładców, gotowych, jak Radziwiłłowie, zdradzać Polskę w celu urzeczywistnienia swych planów dynastycznych? Każdą instytucję trzeba oceniać w jej rozwoju, a nie można jej ani w czambuł potępiać, ani też wielbić bezkrytycznie. I dlatego też różne skróty historyczne trzeba brać z bardzo wielką ostrożnością.

Nie wynika z tego, by polityka nie mogła posługiwać się przykładami z historji, by w budowie dzisiejszego państwa nie trzeba było powoływać się na analogje dziejowe. Charakter narodowy jest czemś trwałem, co nie ulega szybkim zmianom. A obok tych trwałych cech charakteru, należy uwzględnić tradycje, nałogi, przyzwyczajenia, które przechodzą z pokolenia w pokolenia, a które odzywają się nawet w bardzo odmiennych warunkach. I między dzisiejszą Polską a Polską dawną można stwierdzić podobieństwa nawet w dziedzinach, w których nastąpiły największe przewroty.

Wybierzmy dla przykładu taką właśnie dziedzinę — gospodarstwo. Przecież nikt nie oczekuje, że typie gospodarczym Polski XVII wieku i Polski wieku XX znajdą się jakieś podobieństwa!

Dzieli nas od dawnej przeszłości parę wieków głębokich przemian, dzieli nas rozwój nowoczesnego kapitalizmu; inne są metody produkcji, inne warstwy społeczne wysunęły się na czoło. A jednak...

Co było źródłem bogactwa i dominującego stanowiska w gospodarstwie w dawnej Polsce? Nie tyle produkcja, pełnienie określonych funkcyj gospodarczych, a nawet nie tyle praca na roli, ile władza polityczna. Drobny szlachcic uprawiał ziemię i żył z niej; wioskowy szlachcic woził zboże do Gdańska i na tem zarabiał; przemysłem i handlem zajmowało się mieszczaństwo, wypierane przez żydów. Ale najwyższe pozycje w gospodarstwie zdobywał ten, kto miał władzę w państwie lub był blisko jej ośrodków. Genezą wielkich fortun były przywileje królewskie na starostwa, królewszczyzny, przywileje na dzierżawy kopalń i ceł. Niektóre urzędy przynosiły bardzo wielkie dochody. Na tem tle w XVI i XVII wieku powstaje nowoczesne możnowładztwo, wyposażone w olbrzymie majątki. W jednych rękach łączy się dziesiątki miast i setki wsi. Te królewięta uzależniają od siebie swoich klijentów, dzieląc państwo między siebie.

Walka o władzę staje się poprostu walką o pozycję materjalną. Kto ubożeje, przestaje odgrywać wybitniejszą rolę w życiu politycznem. Kto dochodzi do dostojeństw, ten się bogaci. Albo na drodze legalnej, zdobywając sobie tłuste beneficje i intratne urzędy, otrzymując od króla najlepsze starostwa, albo też na drodze nielegalnej, oszukując skarb na dzierżawach dóbr i kopalń, albo też zabierając innym gwałtem ich majątki. Widzi się w tem zło; stąd ciągłe wołanie o *incompatibilitas*, przeprowadza się ustawy przeciw łączeniu różnych lukratywnych urzędów, zresztą bezskutecznie. Nieustannie można czytać narzekania na nadużycia, na nepotyzm, na bogacenie się niesłuszne dzięki różnym *panis bene merentium*. Skarb jest pusty, ale wielu ludziom, którzy są blisko skarbu, dobrze się dzieje.

Żyjemy w innych czasach. Niema dziś królewiąt z własnemi wojskami, władających na olbrzymich obszarach, niema królewszczyzn do rozdawnictwa, nie można się wzbogacić na dzierżawach dóbr państwowych; dygnitarze nie mają olbrzymich uposażeń w naturze. Ale sięgnijmy głębiej, nie krępując się zewnętrzną formą. Co zauważymy w dzisiejszem gospodarstwie? Oto podobny stosunek i podobną współzależność między siłą gospodarczą i siłą polityczną, jaki był przed wiekami, w zupełnie odmiennych warunkach. Podobnie jak niegdyś, siła polityczna jest źródłem przywilejów gospodarczych i finansowych.

I dzisiaj powstają fortuny dzięki koncesjom i monopolom. I dziś zawdzięcza się dominującą materjalną pozycję dobrym stosunkom z ośrodkami władzy. Dawniej dostawało się po kilka lub kilkanaście starostw, obecnie dostaje się po kilka nadzorów sądowych, po kilkanaście rad nadzorczych. Uposażenia na kierowniczych stanowiskach w przedsiębiorstwach państwowych nie pozostają w proporcji do rentowności tych przedsiębiorstw, kłócą się z ogólną biedą i uciskiem fiskalnym masy narodu. Nowi panowie, nowa szlachta. Posiadacze monopolów na przywóz owoców południowych, na różne uprzywilejowane przedsiębiorstwa w Gdyni, nie przypominają ani rasą, ani wyglądem zewnętrznym dawnych Lubomirskich, którzy bogacili się na żupach solnych, ani Mniszchów z ich masą królewszczyzn. Ale analogiczne jest źródło tych fortun: przywilej oparty na koncesji rządowej.

Mógłby ktoś powiedzieć, że zawsze i wszędzie tak było, że ten, kto ma władzę, ciągnie z niej gospodarcze korzyści. Niewątpliwie, że zawsze były nadużycia w wyzyskiwaniu urzędu czy władzy dla celów osobistych. Z drugiej strony zawsze warstwy, które dochodziły do władzy, skierowywały rozdział dochodu społecznego na swoją korzyść. Ale czem innem są nadużycia, czem innem polityka społeczna, która w dużej skali zmienia rozdział dochodu społecznego, a zupełnie czem innem powstanie rządzącej grupy, która łączy razem władzę polityczną z uprzywilejowaną pozycją gospodarczą. Nieraz się zdarzało, że w innych warstwach tkwiły źródła politycznej przewagi, a gdzieindziej najobfitsze źródła bogactwa. W krajach zachodnich często rządziła szlachta czy biurokracja absolutnego władcy, a główna potęga ekonomiczna tkwiła w mieszczaństwie, odsuniętem od władzy.

Niewątpliwie więc do dzisiejszych stosunków polityczno-ekonomicznych możemy poszukać analogij w dawnej Polsce. Stwierdzając te podobieństwa, musimy się zapytać, czy taki związek między polityką a gospodarstwem wyszedł kiedykolwiek na zdrowie narodowi, czy stał się źródłem siły państwa? Łatwo dać odpowiedź. Monopol gospodarczo-finansowy grupy rządzącej wychodzi na złe zarówno polityce, jak i gospodarstwu. Demoralizuje politykę, a paraliżuje gospodarstwo. Jeżeli komuś nie trafiają do przekonania codzienne przykłady, niechaj zagłębi się w przeszłość dawnej Polski. Zyska perspektywę do oceny dzisiejszego położenia i bodajże zaniepokoi się tem, co się dzisiaj dzieje.

ROMAN RYBARSKI

ROLA ŻYDÓW W DZIEJACH POLSKI

# ROK 1863

W TYM CZASIE, gdy Czerwoni owładnęli wszystkiemi niemal sprężynami życia narodowego, przygotowując się intensywnie do powstania, Biali drzemali. W znacznym stopniu przyczynili się do tego Leopold Kronenberg i Jurgens, delegaci na zjazd Białych, który odbył się w grudniu 1862 r. w Warszawie. Obradującemu w tak ciężkiej dla kraju chwili zebraniu, któremu przewodniczył Kronenberg, nadali neofici raczej charakter rozpraw akademickich i szlacheckiej pogawędki przy butelce wina. Zamiast przystąpić w sposób stanowczy do rozważenia wytworzonej przez poczynania Czerwonych sytuacji, postarał się Jurgens wmówić w uczestników zjazdu, że nie przewiduje się rychłego wybuchu powstania. Rozjeżdżali się więc delegaci w tem przekonaniu, że chwila rozpoczęcia walki z najeźdźcą, w oczekiwaniu na lepsze przygotowanie i przyjaźniejsze okoliczności, jest dość daleka.

Tymczasem Komitet Centralny (utworzony przez Czerwonych latem 1862 r.), którego programowem hasłem była rewolucja społeczna w Polsce, wszedł w układy z kierownikami rewolucjonistów rosyjskich: Hercenem i Bakuninem. Dochodziły wprawdzie do Czerwonych wieści, że w radykalnych kołach moskiewskich mówiono głośno, iż kwestja Rusi i Litwy pokłóci ich z Polakami; nie zrażało to jednak członków Komitetu Centralnego, w którego skład, jak pisze Przyborowski („Historja sześciu miesięcy", str. 176), „wchodzili ludzie nikomu nieznani, gdzieś z ciemnych otchłani bytu narodowego wyrzuceni na wierzch w konwulsyjnych drganiach wulkanu powstańczego". Zaślepieni nadzieją rozpętania rewolucji społecznej w Rosji, głusi oni byli na przestrogi Seweryna Elżanowskiego, który w przededniu powstania styczniowego pisał w „Przeglądzie Rzeczy Polskich", że „...gdyby przyszło w państwie rosyjskiem do stanowczego przewrotu, Polska znalazłaby się wśród okropnego pożaru... i mimowoli nawet musiałaby się chwytać własnych sposobów, by własny dom wyratować..."

Parcie neofickich przywódców Czerwonych do nawiązania ścisłego kontaktu z rewolucjonistami rosyjskimi przyczyniło się walnie do zdekonspirowania planów powstańczych Komitetu Centralnego. Wyraźnie o tem pisze Lemke w swojej pracy p. t. „Dzieła Hercena"; twierdzi on, że „rząd carski był poinformowany o biegu najważniejszych prac przygotowawczych Komitetu Centralnego Narodu Polskiego". Dzięki raportom neofity Grzegorza Peretza, współpracownika pisma „*Gołos*", który przebywał w najbliższem otoczeniu Hercena, wiedziano w Petersburgu, że wybuch powstania przygotowywany jest na styczeń (Limanowski: „Hugo Kołłątaj", str. 648). Pisał też o tem Kraszewski, który w szeregu swoich powieści („My i oni", „Akta męczeńskie") zaznacza, że powstanie styczniowe było przewidziane przez Moskwę.

Ze Skierniewic wyszło hasło natychmiastowego rozpoczęcia walki zbrojnej. W tem mieście bowiem na początku stycznia 1863 r. zebrali się komisarze wojewódzcy, wśród których dużą rolę odgrywał Józef Piotrowski, członek rodziny, o której Mikołaj Berg pisał („Pamiętniki o polskich spiskach i powstaniach 1831 — 1862", t. I, str. 184), że „pochodzi z tych żydów, którzy wraz z Frankiem dla osiągnięcia rewnouprawnienia przyjęli powierzchownie chrystjanizm i zmienili swe nazwiska na krajowe, zachowując zawsze w głębi duszy i w domu obyczaj żydowski". Komisarze postanowili przesłać Komitetowi Centralnemu *ultimatum*, w którem zażądali od niego ogłoszenia powstania, oświadczając, iż w razie sprzeciwu naczelnej władzy sami rozpoczną ruch zbrojny. Większość Komitetu nie chciała oprzeć się żądaniom malkontentów skierniewickich. Napróżno poszczególni członkowie Komitetu, jak A. Giller (z tego powodu zapewne niecierpiany przez L. Kronenberga, który dał temu wyraz w swoim liście z dn. 4.VI.1864) i inni protestowali przeciwko rozpoczęciu powstania, zarzucając mu wprost, że nie postarał się nawet przygotować zawczasu w dostatecznej ilości i jakości środków wojennych. W styczniu 1863 r. Komitet Centralny, z którego wystąpił Giller (nie chcąc brać na siebie odpowiedzialności za klęskę w razie ogłoszenia równoczesnego z branką powstania) uznał się za Tymczasowy Rząd Narodowy i wezwał młodzież polską do broni.

Od tej pory wydarzenia potoczyły się znaną koleją. Już po kilku miesiącach walki przerzedziły się szybko zastępy najdzielniejszych. Nietylko w dniach lipcowych, ale wcześniej jeszcze nie widzimy już owej młodzieży, pełnej entuzjazmu, która spotykała się z sobą zarówno przy pracy organizacyjnej, jak i na polach walk. Dosięgły ją kule, bagnety lub stryczek wroga. Na arenie wypadków pozostawali krzykacze, ślepi czciciele rewolucji francuskiej, którym zdawało się, że Polska powstanie wówczas, gdy na polski grunt przeflancuje się hasła i sposoby działania Francuzów z końca XVIII w.

Na miejsce ofiarnej młodzieży polskiej, która usłała szybko trupami swemi kraj ojczysty, poja-

wiło się w organizacji powstańczej mnóstwo małych Maratów, Robespierre'ów, Fouquier - Tainville'ów, Saint-Justów, naśladujących niezręcznie swe prototypy i drapujących się w ich krwawe łachmany.

Wysunęli się też szybko w skład kierowniczych elementów powstania chrzczeni i niechrzczeni żydzi. Nie narażając się naogół na niebezpieczeństwa walki frontowej, obsadzili oni za to wiele poważnych stanowisk aż do stopni dyrektorów wydziałów włącznie, na których byli bardzo czynni. Działali tam: Karol Majewski, stojący przez pewien czas na czele Rządu Narodowego, Józef Piotrowski członek Rządu, utworzonego we wrześniu 1863 r., Aleksander Pawłowski, wchodzący do Trybunału Rewol., Józef Kwiatkowski, naczelnik Warszawy (zajmujący się później sprowadzaniem broni dla formacji galicyjskiej), Franciszek Orłowski, dowódca jednego z oddziałów żandarmerji w stolicy, Władysław Majewski (brat Karola), komisarz woj. kaliskiego, Stanisław Rudnicki, znany pod nazwą Sawa, zaliczony przez M. Dubieckiego („Romuald Traugutt", str. 218) do współpracowników komisji inkwizycyjnej rosyjskiej, Adam Majewski, bracia Niemirowscy, Bronisław Wołowski, Kaplińscy, Henryk Wohl, Artur Goldman i inni.

Nic więc dziwnego, że niezgoda zapanowała w powstańczych szeregach polskich. Do zgody bowiem nie mógł dopuścić element neoficki, wciskający się do organizacji. W tym czasie, gdy młodzież polska przelewała krew w beznadziejnej walce z przemożnym wrogiem, przewódcy Czerwonych rozpoczęli ostrą walkę z Białymi, która, przyczyniwszy się w Królestwie do dwukrotnych przewrotów w Rządzie, rozegrała się i w innych częściach porozbiorowych Rzeczypospolitej.

Już w maju 1863 r. uwydatniająca się w Rządzie Narodowym przewaga Białych doprowadziła ze strony Czerwonych do zamachu stanu, do którego walnie dopomógł naczelnik straży bezpieczeństwa Landowski, prawdopodobnie pochodzenia żydowskiego. Rząd Narodowy został rozpędzony, a bardziej oporni jego członkowie — uwięzieni. Hasło przewrotu wyszło z Krakowa, gdzie licznie zgromadzeni, skrajnie radykalni nikczemnicy wymieniali publicznie nazwiska członków Rządu, z intencją, ażeby one doszły do moskiewskich uszu. Nie mogąc doczekać się chwili, gdy uda im się ująć ster powstania, wysłali oni na wiosnę 1863 r. morderców dla zabicia dwu najdoświadczeńszych członków Rządu. Zamiar, pomimo ich woli, nie przyszedł do skutku. Wówczas spiskowcy postanowili w Zielone Święta wymordować wszystkich członków Rządu. I to się nie udało. W kilka dni potem chcieli napaść na salę posiedzeń w chwili, gdy obradowali tam członkowie Rządu z przedstawicielami opozycji. Mieli oni zamiar zasztyletować członków władzy. Przeszkodzono im jednak.

Wichrzenia neofitów nie wróżyły długiego żywota nowopowstałemu Rządowi. W krótkim czasie upadł on, ustępując miejsca nowemu, na którego czele stanął Karol Majewski. Do października stolica była świadkiem parokrotnej zmiany Rządu. Jeszcze raz Czerwoni doszli drogą zamachu do władzy. Posługując się terrorem zniechęcili oni do siebie niemal wszystkich. W krótkim też czasie doszedł do głosu Romuald Traugutt, którego namówił do objęcia władzy Czartoryski, przedstawiwszy mu, że istnienie terrorystycznego rządu zniechęca mocarstwa Zachodu. Bohaterski dyktator nie był też wolny od „czułej opieki" wichrzycieli neofickich. Mało było im tego, że mieli Epsteina w najbliższem otoczeniu tego męczennika sprawy narodowej. Widocznie nie nazbyt uległym okazał się im dyktator Traugutt. To też przy końcu 1863 r. utworzony został przez szumowiny radykalne t. zw. Komitet Rewolucyjny (którego przewodniczącym został Bronisław Brzeziński) dla przeciwdziałania zarządzeniom Traugutta.

Co się tyczy wrażenia, jakie wybuch powstania styczniowego wywołał na zachodzie Europy, było ono raczej niewielkie. Rozpoczęcie walki zbrojnej z najeźdźcą w Królestwie przeszło niemal niepostrzeżenie wśród społeczeństw i rządów Zachodu. Jan Czyński, Lubliner, Wołowscy, Klaczko i inni zbyt mało czasu mieli na poinformowanie prasy zagranicznej (będącej przeważnie własnością ludzi bliskich im pochodzeniem) o celach beznadziejnej walki, jaką toczył naród polski z Moskalami. Jako założyciele *„L'alliance polonaise de toutes les croyances religieuses"*, stowarzyszenia, mającego na celu pojednanie wszystkich wyznań religijnych na polskiej ziemi, zwrócili oni całą swoją energję w tym kierunku.

W Anglji wyrażano się o powstaniu jako o ruchu, skazanym zgóry na niepowodzenie. Również w Wiedniu nie doceniano doniosłości rozpoczynających się wydarzeń. We Francji, gdzie urzędowa i półurzędowa prasa już przedtem rzucała gromy na Polaków z powodu zamachu Jaroszyńskiego na W. ks. Konstantego, potraktowano powstanie jako ruchawkę w stylu Mazziniego. W szeregu państewek niemieckich sprawa konfliktu polsko-rosyjskiego zaciekawiła dopiero z chwilą zawarcia konwencji Prus z rządem carskim. Wystąpienia nielicznych dzienników na Zachodzie w obronie Polski spotykały się raczej z obojętnością większości prasy. Niektóre z nich nawet piętnowały rzekome okrucieństwa powstańców. Jedynie w Prusiech przyjęto wybuch powstania jako wypadek pierwszorzędnego znaczenia. Już mianowanie W. ks. Konstantego namiestnikiem Królestwa wywołało silną reakcję w Berlinie. „Jest to wiadomość bardzo poważna — wypadek wielkiej, europejskiej doniosłości" — pisał publicysta Teodor Bernhardi.

Zdaniem prasy pruskiej, będącej w większości w ręku potomków oświeconych żydów niemieckich, którzy w r. 1819 — 1823 przyjmowali tysiącami wiarę chrześcijańską, celem Konstantego była korona królewska.

Tak pogodzona z Rosją Polska zmierzałaby do odzyskania Poznańskiego i Pomorza. Nastąpiłaby likwidacja partji Czerwonych, a kraj w oparciu o żywioły umiarkowane przekształciłby się w *secundo*-genituę rosyjską. Rząd pruski więc, zdaniem dziennikarzy żydowsko-niemieckich, nie mógł zająć pozycji biernego świadka.

Wzruszająca zgoda zapanowała też między neofickimi przywódcami Czerwonych i prasą pruską, co do obrzydzenia w. ks. Konstantemu pobytu w Warszawie. Lepiej im widocznie dogadzał na zamku królewskim Niemiec, Teodor hr. Berg, niecierpiący Rosji i nazywający ją Chinami (M. Berg: „Zapiski o powstaniu polskiem", t. III, str. 143). Wśród najbliższych współpracowników tego satrapy, będącego na żołdzie bankierów żydowskich (Berg: „Zapiski..." t. III, str. 424 — 428), widać było Niemców: Wahla i Brunninga oraz żyda Goldmana.

To też nic dziwnego, że miał tego dosyć nawet Kraszewski, redaktor kronenbergowskiej „Ga-

zety Polskiej". W powieści p. t. „Żyd" pisał on wyraźnie o nadziejach przywódców żydowskich, związanych z wypadkami 1863 r. Mówią oni tam: „...w powietrzu czuć proch, ale dla nas to nic złego... skorzystajmy z dobrej okazji. Zamiast bawić się w patrjotyzm i t. p. mrzonki, myślmy przedewszystkiem o sobie. Chłop polski nie lubi nas, wiemy o tem, ale chłop jest głupi — nie boimy się go. O szlachtę nam głównie idzie. Wmiesza się ona przez sam punkt honoru w awanturę, pójdzie do lasu, na krwawe pola, za co ją rząd ukarze, zniszczy, wytępi, wydusi, wywłaszczy, a wówczas dla nas droga otwarta... W każdym narodzie musi się wyrobić ponad masy jakaś inteligencja i rodzaj arystokracji. My jesteśmy materjałem gotowym, my zawładniemy krajem, a panujemy już przez giełdy i przez wielką część prasy nad połową Europy. Ale naszem właściwem królestwem, naszą stolicą, naszem Jeruzalem będzie Polska. My będziemy jej arystokracją, my tu rządzić będziemy, kraj ten należy do nas, jest nasz..." Tak obliczali i rezonowali żydzi Kraszewskiego (ocierającego się o nich zbliska) w chwili, kiedy ważyły się losy kraju.

STANISŁAW DIDIER

# KONFEDERACJA BARSKA A CHŁOPI

CHŁOPI za Stanisława Augusta to $^3/_4$ części narodu. Cztery miljony głów, jeśli liczyć tylko rasowe polskie włościaństwo. W tem najmniej 2 miljony zdolnych do noszenia broni. Materjał według Batorowej proporcji wybranieckiej na stotysięczną armję, kiedy we wszystkich bitwach konfederackich tysiąc ćwiczonego żołnierza byłby siłą rozstrzygającą. Jak traktowali ten żywy skarb rycerze Baru?

Od samego początku, jeszcze przed rzezią Humańską nastawili się wobec niego nieufnie. Jakby nikomu z nich nigdy ani wywody Leszczyńskiego o plebejach, ani Konarskiego nauki konwektorskie o planie wyzwolenia i uwłaszczenia chłopów, nie zawitały do głowy. Bo przecież to nikt inny, jak Stanisław August był posądzany o reformatorskie zamysły na korzyść chłopa; z jego kuźnicy wychodziły „Monitory", wsączające owe ideje w umysły czytelników. Skoro tak jest, to ani Anna Jabłonowska, ani filantrop i fizjokrata biskup Massalski przez czas przynależności swej do Baru nie okażą wobec chłopów żadnej słabości. Na dobitkę ktoś w kulminacyjnym punkcie Konfederacji Radomskiej rozrzucił pamiętną ulotkę: „Suplikę, czyli projekt konfederacji chłopskiej, znaleziony w Torczynie na jarmarku świętojańskim". Porównywając ten projekt z późniejszą o kilkanaście miesięcy odezwą „na czerniawę", można się było przekonać, że wprawdzie żadnej konfederacji, ani nawet rozgałęzionego spisku między chłopstwem niema, ale jest ktoś, może w kilku osobach, kto chciał najpierw wymusić na szlachcie (przez konfederację Radomską) różne ulgi dla włościan, a potem, kiedy pierwsza odezwa nie poskutkowała, gotówby wywołać w całej Rzplitej taką samą „czerniawę", jaka zalała krwią Ukrainę; ten ktoś łudził chłopów życzliwem poparciem króla i biskupa unickiego lwowskiego, Szeptyckiego, ale poza Torczyn, t. j. za granicę Wołynia, wpływem swym nie sięgnął.

Zgroza przeszła po rzeszy szlacheckiej: więc tak daleko idzie wraża prowokacja? To już się wszyscy zaczniem na śmierć konfederować? To może i konfederacja cygańska, na podobieństwo dyssydenckiej? Może konfederacja dam polskich?— pytali sprośni dowcipnisie. Zgroza się wzmogła, kiedy w delegacji sejmowej 1767 — 8 r. otworzyli usta za chłopami prymas Podoski i kasztelan wiślicki Jabłonowski. „Pomnażać swobody i uszczęśliwienie plemienia ludzkiego w najpośledniejszych stopniach i kondycjach"? Cóż to za pomysł niepoczytalny! Czczony staruszek Branicki nie może się uspokoić, aż przekona kręcącego się po Warszawie Mokronowskiego, że uwolnienie chłopów pogrąży Polskę w ostatniem nieszczęściu, bo wtedy upadną i wielcy i mali, upadnie rolnictwo, upadnie handel wiślany, zabraknie środków na obronę krajową. Cała Europa powinna czuwać, aby rolnictwo nasze prosperowało na dawnej pańszczyźnianej podstawie. Twardowski uspokaja innego masona, Mniszcha, że na interes chłopów „żadną miarą zgody niemasz". Jakże inaczej reaguje na te pogłoski światły stronnik dworu Dzieduszycki: „Możnaby i prawo umodyfikować względem ekstradycji, ażeby ta nie następowała, gdy się pokaże, że chłop tyranją pana przymuszony uszedł, i wiele innych rzeczy znalazłoby się ekonomice publicznej i prywatnej nieszkodliwych. Ale gdy się teraz prawa stanowią pod gwarancją, dałby Bóg, ażeby ich jaknajmniej było postanowionych".

Wnet zmora znikła: „całość *dominii et proprietatis* dziedziców" zagwarantowała nam Rosja, jako niewzruszone prawo kardynalne; Repnin na inne reformy, oprócz odjęcia szlachcicowi prawa *vitae et necis* nie pozwolił, a to z przyczyny, że wszelka istotna poprawa doli chłopskiej w Polsce pociągnęłaby do niej mnóstwo zbiegów z za rosyjskiej granicy i „pomieszczyk" rosyjski nie miałby z czego płacić podatków.

Po rzezi ukraińskiej względność dla pospólstwa wydała się wielu skostniałym mózgom jeszcze bardziej podejrzana niż przedtem: przecież Gontę i Żeleźniaka podburzył nikt inny jak sam Stanisław August! Oto opaczne pobudki, dla których Bar, tak chętnie powołujący się na wzory tyszowieckie i tarnogrodzkie, nie powołał chłopa polskiego do obrony wiary.

Jeśli do mieszczan rzadko przemawiano jak do obywateli, to chłopów poprostu przystawiano do komend, jako żer armatni: nawet ową milicję sołtysów, powołaną w pierwszym uniwersale barskim wyobrażać sobie należy nie jako uzbrojonych chłopów, ale jako rekruta danego przez tytularnych sołtysów, szlachtę, po dawno dokonanym skupie sołectw. Rosjanie też, dobrze orjentując się w stanie rzeczy, przez cały czas wojny unikali kroków, któreby gniew ludu polskiego na nich obrócić mogły: tem się tłumaczy ich względnie ludzki stosunek do mas pracujących, a nie walczących, stosunek, który ustawał jedynie w razie przewidywanych szturmów na konfederackie warownie: wówczas Kreczetnikow, Drewicz, czy Suworow, jedna-

kowo pędzili setki chłopów z drabinami i faszynami pod mury, ścieląc z ich trupów pomost dla szturmującego żołnierza.

Lud znosił tę niewolę z tępym fatalizmem, i nie widać, czy zdawał sobie sprawę z różnicy między obowiązkiem poświęcenia życia dla sprawy polskiej i katolickiej, a koniecznością umierania na rozkaz Moskala czy dyssydenta. Gdyby nie utyskiwania Drewicza, że cała ludność współczuje konfederatom i ostrzega ich przed niebezpieczeństwem, możnaby mówić o moralnej neutralności $^3/_4$ części mieszkańców Polski wobec wojny o niepodległość.

Oczywiście zdarzały się wyjątki, ale te się— przynajmniej w polu naszego widzenia — równoważą. Przeważałyby nawet wyjątki ujemne, gdyby nie to, że wiele z nich, jako pochodzących z dzielnic nie czysto polskich, należy eliminować. Plenipotent Mokronowskiego w starostwie tłumackiem (Ruś) nie może nakazać ludziom złożenia żądanej przez konfederatów kontrybucji, bo gdyby tylko chłopom to wspomniał, „gotowy bond uczyniliby, tak są przeciwni konfederacji, a do tego o mil tylko stąd pięć w Buczaczu i Podhajcach znaleziono przygotowania chłopskie do bontów, z drugiej strony w górach opryszkowie": aż strach bierze na myśl, co nastąpi, kiedy Rosjanie odejdą... Jednocześnie w Mścisławskiem bez buntu się nie obeszło, ale go szlachta stłumiła. W Zaleszczykach chłopi królewscy prosili rządcę, by im pozwolił uczynić związek pod komendą Petra Łopatyńskiego mieszczanina, przeciw konfederatom; rządca „obiecał w nagrodę szubienicę" i z księdzem bernardynem wyperswadował im ruchawkę, za nic jednak nie ręczy, jeżeli przyjdą konfederaci. Konfederat Twarowski przyszedł i radził sobie też szubienicami. Ferment ten sięga aż w Sanockie, i tędy zaraża polskie Podkarpacie: jakiś Dubiecki siedzi w „górach, wzruszenia ludu robotę na siebie wziąwszy"; może to miała być agitacja konfederacka, ale bardzo w takim razie niewdzięczna, bo chłopstwo omal nie rzuca się na Marcina Lubomirskiego, rozwścieczone jego exorbitancjami, a pod Lanckoroną dochodzi do zaburzeń, które ponawiają się w czerwcu 1770 r. w „zhukanych" trzech wsiach Łodzińskiej, burgrabiny krakowskiej. Do dziś dnia pozostało w pewnych okolicach Małopolski Zachodniej bardzo cierpkie wspomnienie o „kondrakach", bardzo tu naturalne wobec najdłuższej i najcięższej eksploatacji tego kąta Polski na rzecz powstania; wolno też mniemać, że jeżeli Drewicz i towarzysze nie zdołali dogadać się z szemrzącem chłopstwem polskiem, to głównie dzięki różnicy wiary: do kmiotków bądź co bądź łatwiej trafiał ksiądz bernardyn, niż łupieżca Częstochowy.

Dużo zależało, rzecz prosta, od taktu przywódców konfederackich i od animuszu chłopa. W Krakowskiem początki były lepsze, niż dalszy ciąg werbunku: górali sporo poszło i do księcia Marcina i do Joachima Potockiego i do Pułaskiego. Krótkotrwała pierwsza Konfederacja lubelska 1768 r. wybuchła przy aplauzie i radości „podłego" pospólstwa wiejskiego. Pobożna Żmudź dostarczała chłopów-ochotników Stefanowi Medekszy. Również bunt Szawelski 1769 r. nie miał bynajmniej charakteru antypolskiego; tło tego buntu było niewątpliwie gospodarczo-społeczne. Kiedy Antoni Tyzenhaus, podskarbi nadworny litewski, dążąc do zwiększenia dochodów z ekonomij, wprowadził w nich pańszczyznę na miejsce tradycyjnych czynszów, miłośnicy „wolności czynszowej" stawili czynny opór. „Zrazu 13 lipca 1769 r. pod wodzą Tomasza Lewickiego w Zagorach, później pod wodzą wójta włości Janiskiej Michała Pawgiewicza, Szymona Aleksandrowicza i innych w Janiszkach i Szawlach w liczbie około 2000, przeważnie czeladzi i parobków, powstał lud... zmuszał do przysięgi na wierność swoim przywódcom, więził oficjalistów, podstarościch i ekonomów królewskich, napadał dwory, magazyny i karczmy" (St. Kościałkowski). Aleksandrowicz, szlachetka i bakałarz tytułował siebie marszałkiem; wspólne przeciwieństwo do króla zbliżało chłopów do konfederacji, w tym też kierunku działało niższe duchowieństwo, spokrewnione z buntownikami, a na Żmudzi, jak wiemy od jednego z panów rządców, „lepiej chłopi wierzą w księży, niż w mających rządy oficjalistów". Stanisław August uważałby sobie za hańbę, „żeby innych panów poddani szczęśliwszymi się nazywali od królewskich", użył więc wszystkich sposobów, aby bunt przez komisarzy łagodną perswazją uspokoić i krzywdy naprawić, ale „wolności czynszowej" nie przywrócił. Swoją drogą czuwał nad uśmierzeniem Żmudzinów i żołnierz królewski polski, i żołnierz kurlandzki, i zdaleka żołnierz rosyjski, paru winowajców stracono, kilkunastu obito; niestety, nic nie wiadomo o zainteresowaniu, mianowicie o życzliwem zajęciu się tą sprawą, władz konfederackich. Księża działali dalej; lud burzył się też przy budowie kanału Ogińskiego, spotykano „najgorszą hołotę" w obozach Kossakowskiego. Opowiadano—bo niejednemu chciało się w to wierzyć,—że podkomorzy łęczycki uzbroił 2000 chłopów w cepy, jakiś Korsak w Połockiem miał zbrojnych poddanych aż 4000.

Oprócz górali szczególną otuchą napawali szlachtę kurpie, jako potomkowie tych, co i Szwedom Karola XII dali się we znaki i z Moskwą w 1735 r. w obronie Leszczyńskiego walczyli do ostatka. Ma swoich kurpiów, widać zawczasu zwerbowanych, a „cudacko uzbrojonych" Joachim Potocki, usiłuje ich zagrzać Dzierżanowski; są w konfederacji ciechanowskiej (aż 600) i wyszogrodzkiej pod Sawą, oraz Trzeciakiem. Widocznie doświadczenia były z nimi dobre, bo i podczaszy wielkie w nich nadal kładzie nadzieje i Dumouriez na podstawie informacyj biskupa Krasińskiego, którego rodzina miała dobra, obejmujące część Zielonej puszczy, zachwala *„les Kourpiks, espèce de sauvages, bons tireurs, fameux dans la gueurre contre les Suédois"*. Doskonały to materjał na piechotę, gdyby z obiecanych przez biskupa 6.000 można było dostać choć $^1/_5$ część. Bądź co bądź, to pokolenie kurpiów nie zaznaczyło się tak pięknie w walce o niepodległość, jak jego ojcowie i dziadowie: może zrażały hasła antykrólewskie konfederatów, może zabrakło dodatkowej podniety, to jest krzywd od zagranicznego żołnierza.

Czy były jakie sposoby na pozyskanie chłopów? Sposób minimalny polegałby na ludzkiem obchodzeniu się z oraczem. Demokrata Dzierżanowski uprzedza starostów i dzierżawców w Małopolsce (4 marca 1769), że kwarty każe ściągać prosto od dziedziców, aby nie uciążać poddaństwa. Tę samą zasadę, że płacić mają „nie gromady, lecz dwory" próbuje stosować do wszelkiego podatkowania grupa gobułtowsko-muszyńska w uniwersale 9 sierpnia 1769, grozi nawet egzekucją,

ale za odmowę, nie za przerzucanie podatku na chłopa. Generalność w Sancitach zaczyna od bardzo głębokich westchnień, jakby chciała odnowić śluby lwowskie Jana Kazimierza: „Wyciśnione rozmaitemi gwałtami łzy i płacz uciemiężonego ludu ściąga na nas sprawiedliwy gniew i karę Najwyższego”, aby zakonkludować skromnie, że rabowników ukarze i pozwoli na nich chłopom dochodzić zadośćuczynienia, owszem, każe spisywać zawczasu wszelkie krzywdy i nikomu nie da zasłaniać się amnestją. Szefowie barscy też zaczynają od mocnej motywacji: że przecież od dobrobytu chłopa zależy wpływ podatków do skarbu, regularna płaca wojska, ba, nawet pewność intrat i przychodów szlacheckich; gdyby te wszystkie pobudki i przyczyny nie miały u nas względu, wiara, która dzieła konfederacji jest gruntem i celem, uczy nas, że bliźnimi naszymi jesteście, że krzywdy wam czynić nie godzi się, że Bóg nie błogosławiłby dziełu naszemu, gdyby czyny nasze płacz ludzki ściągnąć miały.

Dlatego starano się chronić lud ukraiński w r. 1769 przed braniem w jasyr, i dlatego konfederacja pragnie wszystkim przywrócić spokój i bezpieczeństwo. Generalność czuje, że tego mało, więc obiecuje 3 marca, za szczęśliwem da Bóg uspokojeniem, „partykularny na krzywdę ludu wzgląd mieć”, pokrzywdzonym nagrodę obmyślić, a najbardziej poszkodowanym miejscowościom przyznać ulgi w podatkach.

To wszystko. I to trochę to były słowa, kiedy w czynach stare, złe nałogi wybuchały nietylko w stosunku do własnych poddanych, ale czasem nawet wobec węgierskich Słowaków. Nie chciano dostrzec tego, co od początku widział Repnin, że „podłost” w patrjotycznych nastrojach wszędzie solidaryzuje się z drobną szlachtą, nie doceniano faktu, który zbytnio uogólnia krótkowzroczny ksiądz Pstrokoński: że „lada chłystek” „najgodniejszych ludzi chciał mieć pod nogami”.

Trochę mniej wygadywania na machjawelizm społeczny Stanisława Augusta, mniej względu na najpożądniejsze koła ziemiańskie, śmielsze spojrzenie naprzód, więcej wyczucia dla tego pospólstwa, co w Warszawie przeklinało Kuźmę i Zarembę, na Mazowszu ubóstwiało Sawę, na Litwie garnęło się do Kossakowskiego, a poczułby się pewno Drewicz w Polsce, jak pan Bohdanowicz na Ukrainie, bo powstanie stałoby się choćby w części ludowem: lud w r. 1768 dojrzał do Kilińskiego i Bartosza, tylko szlachta nie dojrzała do Kościuszki. Sedno rzeczy tkwiło narazie w oparciu armji na „doskonałym”, według Dumourieza, materjale chłopskim, ale nie według polskiego systemu, gdzie pachołek w wojsku pozostawał sługą dziedzica, lecz według recepty zachodniej, na zasadach równości służby i awansu. To była rzecz najpilniejsza, ale na dziś: na jutro trzeba było się pogodzić z faktem, przepowiadanym przez Dumourieza, że 8 miljonów ludu wyjść musi z pod niedorzecznego panowania 800 tysięcy szlachty, że przy systemie poddaństwa Polska nie obroni niepodległości, że dopiero po emancypacji chłopów zakwitnie rolnictwo i rzemiosło, a ludność się rozmnoży; że póki to nie nastąpi , każdy najeźdźca, czy rozbiorca Polski potrafi za wzorem 1768 r. wygrywać chłopa przeciw klasie panującej.

Tak uczył konfederatów Dumouriez w r. 1771. A w dwa lata później wcale nie najgłupsza z konfederatek, Teofila Sapieżyna, kuzynka Anny Jabłonowskiej, czytając o wystąpieniu Feliksa Oraczewskiego na sejmie w obronie chłopów, notuje w swoim dzienniku, że poseł krakowski odznaczył się dobrze, ale potem ujmował się za chłopstwem, czem oburzył izbę.

WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI

# NAD „NORWIDEM“ WASILEWSKIEGO

(Dokończenie)

## II

O NORWIDZIE, jako człowieku prywatnym, wiemy bardzo mało. Nie idzie tu oczywiście o sensacyjki biograficzne, ale o tę stronę charakterystyki, któraby na swój sposób dawała nam zrozumienie indywidualności. Nieliczne przechowały się wspomnienia o jego usposobieniu, o sposobie bycia, o jego stosunku do przyjaciół czy znajomych.

Ja osobiście miałem sposobność słyszeć nieco opowiadań Zygmunta Sarneckiego, który dość blisko, zdaje się, znał Norwida z czasów jego paryskich, po roku 1863. Sarnecki był człowiekiem o wykwintnej umysłowości i niemniej wytwornych manierach, był nieposolitym smakoszem literatury i sztuki wogóle, ale miał tę przywarę, że niewielu swoich znajomych prawdziwie lubił. Należy wyrozumieć tę cierpkość jego uczuć: w młodości roił o sławie literackiej, rezultaty zawiodły go, — pan z panów, w młodości bogacz, był jednym z tych „co miljon starli do szeląga”, starość upływała mu niemal w nędzy. Doznał też wiele niewdzięczności ludzkiej. To wszystko źle go usposobiało do bliźnich: rad bywał wyszukiwać w nich wady i słabości. Chętnie we wspomnieniach o ludziach cytował to, co ich obniżało. Nigdy jednak nie miałem wrażenia, by uciekał się do zmyśleń dla zadośćuczynienia tym swoim słabostkom.

Norwid w jego opowiadaniach przestawia się przedewszystkiem jako typ krańcowego abnegata. Przechodzić miał wielotygodniowe okresy takiej apatji, że najpiękniejsza nawet pogoda na dworze nie potrafiła go zwabić, by wyszedł z mrocznej swojej izdebki paryskiej. Noce i dni trawił nieruchomy w łóżku i nie było rzeczy, któraby go zdolna była wyrwać z tej niemocy. Ciasna pokoiczyna, w której mieszkał, przedstawiała obraz nietylko ubóstwa, ale i zaniedbania. „Niechlujny, jak wszystkie mazury” — mawiać o nim miano pośród znajomych na emigracji. Domowa odzież jego i bielizna przedstawiała podobno rozpaczliwy stan nieschludności. „Gdym później poznał „Obłomowa” ”— dorzucał Sarnecki — „to ten bohater powieści Gonczarowa, całe miesiące spędzający na podziurawionej kanapie, w wiecznym mroku i brudzie, żywcem mi przypominał Norwida. Podobieństwo tem głębszej nabierało siły, że i Norwid, jak Obłomow

nawet w większym jeszcze stopniu przywodził sobą refleksję o specyficznie szlacheckiej dekadencji".

Tyle Sarnecki. Wręcz odmienną sylwetę rysował mi Władysław Mickiewicz w swoich nieporównanych dykteryjkach emigranckich. Znał Norwida głównie z salonów — i co ciekawe, znał go w tych samych czasach, które wspominał Sarnecki. W salonach tych Władysław Mickiewicz bywał czasem z musu, Norwid bywał tu chętnie. Nienagannym strojem, elegancją bycia, wytwornością ruchów reprezentował typ zubożałego markiza. Znany był na salonach z kostycznego dowcipu. Zachował Wł. Mickiewicz w pamięci jedno z jego *bons mots*:

Był jakiś bal. Powszechną uwagę zwracała pewna księżna, ślicznie ubrana, piękna i wyzywająca. W *haute volée* paryskiej opinja pomawiała ją o lekkość obyczajów. Ktoś, od kogo Wł. Mickiewicz miał tę relację, był też na owym balu i stał w pewnym momencie w kącie salonu tuż obok Norwida. Obaj przypatrywali się nieustannemu szturmowi tancerzy, dobijających się o *tour* walca z nadobną księżną. Norwid wskazał mu ją wzrokiem:

— Jaka szkoda, że to jest księżna X, a nie księżna Radziwiłłowa.

— Dlaczego?

— No, bo jakże po radziwiłłowsku by to brzmiało, że każdemu z danserów może w zgodzie z prawdą powiedzieć: „panie kochanku".

Władysław Mickiewicz podkreśla, że na salonach paryskich wywoływał Norwid wrażenie zubożałego markiza. Zdaje się, że bardzo dbał o to, by w sociecie czuć się równym między równymi. Bywał tu nie tyle jako wybitny artysta, ile jako potomek królewski, po kądzieli z Sobieskich. Przypominał w tem innego poetę-arystokratę: Puszkina. Gdy autora *„Jewgenja Oniegina"* ktoś zapytał, czy jest poetą, — Puszkin odpowiedział: „jestem szlachcicem rosyjskim".

W każdym razie Norwid lubił świat arystokracji, na co zwrócił uwagę Wasilewski. Ten świat wysokich progów najlepiej odpowiadał, jeśli nie snobizmowi, to jego potrzebie wytworności. Nie zawsze w sociecie spotykał wytworność wewnętrzną, ale zawsze miał tu namiastkę: dobre maniery, które Norwidowi też nie były rzeczą obojętną. Mam wrażenie, że chętnie jednak chciał w arystokracji widzieć i piękno ducha. „Pierścień wielkiej damy" poza wszystkiem, jest też pokłonem w stronę wielkoduszności ludzi dobrze urodzonych.

A teraz:

Jeśli obie relacje z biografji Norwida: relacja Sarneckiego i relacja Wł. Mickiewicza są jednakowo wiarygodne — to jak powiązać sobie w jedną i tę samą organizację psychiczną Norwida z zabrudzonego barłogu i Norwida, eleganckiego salonowca?

Tu nam nie sposób obyć się bez wnikliwego naświetlenia, jakie przeprowadził Wasilewski, a które wykrywa owo r o z p r y ś n i ę c i e się instynktów Norwida, ową jego dwoistość natury. Czy to było w Norwidzie przyrodzone, czy los tragicznych przeżyć duchowych wyżłobił w nim tę rozpadlinę — to oczywiście wymagałoby bacznych studjów biograficznych, ale samo postawienie sprawy w książce Wasilewskiego wydaje mi się jedną z najważniejszych zdobyczy, jakie mamy w norwidologji.

Nie wszystkie przykłady, wskazane przez Wasilewskiego, odpowiadają ściśle wykrytemu przez krytyka sekretowi twórczości norwidowej, ale nie ulega wątpliwości, że całe kompleksy zagadnień, nawet „zagadek" Norwida dadzą się jasno rozwiązać zasadą tego rozpadu poety na d w ó c h jakby ludzi.

Nie opuszczajmy terenu owej, mrocznej, zaśmieconej izdebki paryskiej, dokąd Zygmunt Sarnecki przychodził odwiedzać Norwida. Widzimy tu poetę zapadłego w skrajną apatję, nieczułego nawet na brud, jaki go zewsząd otacza. Jest to po roku 1863, — ileż lat ma wówczas Norwid? — czterdzieści kilka. W naszych czasach powiedziałoby się o nim: młody człowiek, — dawniej człowiek w tym wieku nie uchodził już za młodego, ale jeszcze bądź co bądź nie stary. Więc nie starcza prostracja, ale też już i nie młodzieńcza, przemijająca neurastenja; — jakiś upadek woli dogłębny, jaki miewają alkoholicy, narkomani. On nie był ani jednym, ani drugim: z jakichś raczej psychicznych klęsk to znieczulenie nerwów aż do samoprzekreślenia się wewnętrznego. — Ale teraz sięgnijmy do jego twórczości: wszakże i w tym okresie znajdziemy jego wiersze o najwyższem napięciu ducha, a wśród nich niejeden, który jest wołaniem zwycięskiem, nauką energji moralnej. Czy można sobie wyobrazić, by te utwory wysnuwał z siebie t e n s a m człowiek, którego Sarnecki widywał zapatyczniałego do kresu jaźni? Nie, to jakiś inny, d r u g i, wedle słusznych uwag Wasilewskiego, niespodziewanie drugi Norwid to tworzy. Drugi Norwid, nic jakby nie mający wspólnego z Norwidem niższych kondygnacyj osobistego bytu.

W tej ilościowo i jakościowo bogatej twórczości, znajdujemy czasem skończone arcydzieła od pierwszego do ostatniego słowa utworu. Częściej jednak, znacznie częściej, trafi się dzieło, w którem doskonałością jest jakiś fragment całości, jedna jakaś strofka, czasem jedno jakieś hypnotyzujące powiedzenie, aforyzm. Reszta utworu to jakby niedokształcona mgławica. Niektórzy z nowoczesnych estetów i teoretyków twórczości, których cytuje np. prof. Cywiński w „Gwiaździstym diamencie Norwida", usiłują twierdzić, że sprawa jasności danego autora to sprawa subjektywnych zdolności rozumienia u danego czytelnika. Oczywiście, że senegalczyk może nie zrozumieć przełożonej mu na jego język poezji klasycznie jasnej europejczyka, ale nie jest subjektywną li tylko sprawą danego czytelnika niezrozumiałość Norwida, gdy ten sam czytelnik rozumie jednak Mickiewicza, Słowackiego, Byrona, Szyllera. Tego nie da się odwrócić: Norwid w wielu wypadkach nie potrafił jasno wyrazić swojej myśli. Czuje się, że nie może on znaleźć słowa, albo też związku słów, któreby w pełni, a przynajmniej w przybliżeniu oddały zamierzoną ideję. Staje znowu przed nami obraz dwu ludzi: jeden Norwid, Norwid-projektodawca, który ma w głowie niepospolite myśli — i jakby Norwid drugi, powołany do wybudowania z tego planu budowli, Norwid-wykonawca, nieudolny w porównaniu z tamtym. Dwaj ludzie tak od siebie odlegli, jak ten pełen świetności i blasku Norwid z salonów, z najwyższego świata, i ten sam, a tak inny Norwid z ciasnej, zaśmieconej izdebki, tygodniami nie mogący się podźwignąć ze swej nieruchomości, ze swej niemocy woli, nieudolny wykonawca swojego życia.

Dwoistość Norwida wypowiedziała się i w gatunku jego twórczości.

Wiele naszych nieporozumień co do jego produkcji pisarskiej wypływa z tego, że my w nim szukamy takich samych złóż artystycznych, jakie odnajdujemy np. w Mickiewiczu, czy innych twórcach czystej krwi poetyckiej. Norwid zaś jest poetą poniekąd w takiem samem znaczeniu, w jakiem był naprzykład Fryderyk Nietzsche. Jeden i drugi z poetycko urządzoną duszą przystępował do tematów, które równie dobrze zająć mogą, a nawet muszą dyscyplinowanych w swojej metodzie uczonych: historyków, historjozofów, socjologów, psychologów grupy, etnologów, religjoznawców. Tylko Nietzsche, ani trochę nie głębszy od Norwida i nie bardziej dalekosiężny w widzeniach wszelkich perspektyw danej rzeczy, — był jednak lepiej podmurowany naukowo i prozą swoich pism bliżej się trzymał gruntu swoich zainteresowań. — Norwid, katolicki tak, jak tamten był antychrześcijański, w rozmaitości swoich błysków może nawet z przyrodzenia szerszy od Nietschego, nie wychodził ze szczebla dyletantyzmu, a forma jego wypowiadania się: mowa wiązana dezorjentowała i dezorjentuje nasze wrażenia.

Było właściwie coś staroświeckiego w Norwidzie, gdy wierszem wypowiadał sprawy, przynależne zagadnieniom wiedzy. Jest tu jakieś echo czasów renesansowych, kiedy nawet traktaty medyczne pisano rymem. Ale forma wersyfikacyjna zobowiązywała Norwida nie tylko co do formy, ale i co do idei. Mimowoli narzucała się tu poetycka dowolność w rozumowaniu, które się prosiło o ścisłość formuły [1]). Metodyk-myśliciel rywalizował z wizjonerem, a rzadko się z nim zespalał w syntetyczną całość. W poematach Norwida można wykazać, jak jeden z nich naraz milkł, by do głosu mógł dojść drugi. Ale zawsze to było *solo* jednego lub drugiego, — rzadko napotkać można harmonijne wzbogacanie się jednego drugim. Nie mamy w nim tej jedności stylu, którym rozporządzał Nietzsche.

[1]) Nie odrzeczy tu będzie zauważyć, że znowu liryka Norwida często wyraża się jakby w kodyfikujących formułach, przypominających wnioski wiedzy ścisłej.

Ja osobiście czułem w Norwidzie tę rysę rozgraniczenia między Norwidem dyletantem-uczonym, a Norwidem poetą, ale dopiero po przeczytaniu dzieła Wasilewskiego **zrozumiałem**, skąd się wzięło to niedospolenie jednego Norwida z drugim.

Oczywiście, że i ja się mogę mylić i Wasilewski też. Ale poznawanie każdego fenomenu twórczego, a tembardziej tak skomplikowanego, jakim był Norwid, musi iść po drodze ciągłych prób zrozumienia. W tej wędrówce do celu omyłka nieraz może być taksamo owocna, jak i natrafienie na właściwy kierunek. Balsamy adoracji mogą jedynie mumifikować danego twórcę, ale życia mu nie dadzą. Wasilewski wielokrotnie kłół Norwida swoim tonem analizy — tego się zaprzeczyć nie da — ale kto wie, czy w skutkach nie będą to takie nakłócia, jakich niezbędnie wymaga zastrzyk, zawierający życiodajne leki. Dlatego też ta książka, która już tak zainteresowała literatów i publiczność, która stała się najbardziej dyskutowanem wydarzeniem w piśmiennictwie ostatnich miesięcy, może o sobie powiedzieć, że spełniła swoje zadanie: Norwid wyjdzie z niej żywszy niż był dotychczas.

Nie pisałem tutaj recenzji o „Norwidzie" Wasilewskiego, nie przechodziłem więc rozdziału za rozdziałem zawartości książki, pominąłem cały szereg nader ważnych uwag i wniosków, któremi dzieło to jest wypełnione. Starałem się wskazać kilka spostrzeżeń tej niecodziennej pracy, a wskazawszy, rozwinąć je do tyla, by unaocznić, jak nieraz kilka słów krytyka tej miary, co Wasilewski, mogą się w naszych refleksjach rozrosnąć w obszerne dysertacje, bo nawet w tych kilku słowach mieści się, jak w ziarnie, drzewo rozłożyste konsekwencyj. Chcę więc zachęcić czytelników, by rozczytali się w „Norwidzie" naszego krytyka i jaknajgruntowniej dzieło przemyśleli. Wyjdą z lektury bogatsi w znajomości nie tylko Norwida, ale i sposobów wczuwania się w duchową twórczość wogóle.

ADAM GRZYMAŁA-SIEDLECKI

OTOKAR BRZEZINA

# APOSTROFA JESIENNA

Lazurem świetne dni, dni jasne października,
kiedy gałęzi bronz w pożodze liści znika,
co podmuchami wichru gnane z drzew jesienią,
niby ze złota kute błyszczą się i mienią!
Z orzeźwiającej waszej promienieje woni
tchnienie uczuć i ranków zgasłych w czasu toni;
południ złotych blask, gdy słońca dech głęboki
swój żar w dojrzałych płodów czerstwe zmieniał soki
i dusza szczodrych wonią zmierzchów, co zgorzały
w zachodu purpurowych ogniach. Z was chorały
świergotów, ćwierkań, kwileń brzmią, choć ptaków rzesza
odlotna zmilkła już. W was zlewa się i miesza
uwiędłych kwiatów sen, szum zbóż, co legły zżęte,
wyblakłych światłocieni brzaski uśmiechnięte,
motylów martwych już, ponowne w przestwór wzloty
i zamęt istot, zgasłych w dnia kąpieli złotej.
Tajemnych sił jesteście konającem tętnem,
które już w uciszeniu legły beznamiętnem.

Jesienne, modre dni jarzące się świetliście,
kiedy gałęzi bronz płomienne zdobią liście,
co podmuchami wichru gnane z drzew jesienią,
niby ze złota kute błyszczą się i mienią!
Pałajcie i gorejcie w chłód październikowy
rozbłyskiem barwy płowej, złotej, purpurowej
i rozlewajcie śmierć, co dżdżem z światłości waszej,
wycieka jak z rzeźbionej w chłodnym kruszcu czaszy.
Do głębi duszy mej woń wasza ociężała
niby zabójczy opar wpełzła i została.
I jak piołunem z waszych poję się przestworów
konaniem wielkiem życia, kwiatów i kolorów.

Przełożyła z czeskiego IRENA VOREL-CZEMPIŃSKA

# NA WIDOWNI

Czy Wierusz-Kowalski był „osamotniony"?—Ówczesny stan malarstwa polskiego. — Kraków i Monachjum.— Obyczaj mikromanji.—Wielcy ludzie, którym naród przeszkadza.—Szkodliwa propaganda.

W „PRZEWODNIKU" po urządzonej właśnie w „Zachęcie" wystawie dzieł Alfreda Wierusz-Kowalskiego, w popularnym życiorysie, zamieszczonym na wstępie katalogu, poucza się czytelnika, iż malarz ten „czuł się w kraju osamotnionym artystycznie", a przyczyną „osamotnienia" był, oczywiście, „bezwład" powszechny i „brak kulturalnych ambicyj", który „nigdy w takiej potwornej karykaturze nie wystąpił", jak w epoce największego rozwoju talentu artysty. Nie dziw też chyba, że „osamotniony" w Polsce, Wierusz-Kowalski zamieszkiwał aż do końca życia w Monachjum, tam znalazł „atmosferę", „środowisko"...

Zazwyczaj nie wnika się zbyt skrupulatnie w treść okolicznościowych notatek, uważniejszy wszakże czytelnik, zastanowiwszy się nad owem „osamotnieniem", musi dostrzec, iż coś jednak wydaje się w takiem postawieniu sprawy nie w porządku... Wszak to półwiecze, w którem żył i malował Wierusz-Kowalski (ur. 1849—†1915) było — na przestrzeni tysiącletnich naszych dziejów — okresem najświetniejszego rozkwitu twórczości malarskiej, jednoczesnego wyrojenia się całej gromady wielkich, bujnych talentów, znakomitych mistrzów, których imiona będą na zawsze stanowiły chwałę polskiej sztuki. Wszak za jego życia właśnie, nieco starsi albo młodsi od Wierusz-Kowalskiego, tworzyli w Polsce: Matejko i Wyspiański, Malczewski, Stanisławski, Chełmoński, Pruszkowski... Wystarczy przejść się po Nowej Pinakotece monachijskiej i po galerji Muzeum Narodowego w Krakowie, ażeby odpowiedzieć bez wahania, gdzie w owej dobie sztuka malarska wydawała dzieła głębsze, potężniejsze. Któż w Monachjum z pomiędzy rówieśników Wierusz-Kowalskiego, umiałby stworzyć „Hołd pruski" albo franciszkańskie witraże?

Stolica Bawarji była podówczas—a jest bodaj w znacznej mierze i dzisiaj —miastem *Kunsthändler*'ów, wielkim jarmarkiem na dzieła sztuki, zaopatrującym Europę i Amerykę. Czy wszakże takie właśnie środowisko musi być uważane za najlepsze, jeżeli chodzi o stworzenie warunków, sprzyjających rozwojowi talentu twórczego artysty? Wierusz - Kowalski jest tu sam przecież najbardziej pouczającą odpowiedzią: łatwość sukcesu i potrzeby rynku czyż nie skłaniały go do powtarzania własnych pomysłów, w coraz to słabszych i coraz bardziej na sposób rzemieślniczy traktowanych odmianach i replikach?

*

Omówiłem tu pokrótce wstęp do katalogu „Zachęty", nie w tym celu bynajmniej, żeby dokuczyć autorowi, lecz — naodwrót — by go raczej usprawiedliwić. W gruncie rzeczy nic on bowiem nie uczynił innego, jak tylko, z całą niewątpliwie poczciwością, zastosował się, jak umiał najdokładniej, do powszechnie dziś u nas przyjętego i obowiązującego obyczaju. Właśnie dlatego też rzecz zasługiwała na poruszenie, gdyż, chociaż drobna, stanowi ilustrację zjawiska, mającego znacznie większą doniosłość i w rozmaitych obserwowanego dziedzinach. Obyczaj tu wspominany jest prosty całkiem i ogólne znajdujący uznanie: polega na tem, by pochwalając jakąś jednostkę wybitniejszą, koniecznie przytem dodać cośkolwiek pogardliwie ubliżającego o narodzie.

Gdy kto więc chce powiedzieć komplement czy uczcić czyjeś zasługi, za obowiązek uważa sobie oczernić przy sposobności społeczeństwo, by na tem tle osoba, o którą chodzi, w tem okazalszej ukazała się postaci. Tak tedy z reguły w społeczeństwie musi panować „bezład", „brak ambicji", człowiek wybitny musi się naturalnie czuć „osamotniony" i t. d. Przeciętny polski inteligent dzisiejszy przyzwyczaił się patrzeć na dzieje swojej ojczyzny, jako na serję zjawiających się od czasu do czasu wielkich ludzi, którym naród zawadza, jest przeszkodą w wykonywaniu ich dzieła, i wogóle ich „nie rozumie", „nie docenia".

Ten sposób myślenia, tak charakterystyczny jako objaw mikromanji narodowej i bezsprzecznie będący jednem z następstw doby niewoli, w wieloraki sposób odbija się na naszem życiu współczesnem i niemałe wyrządza szkody. Skutki jego widoczne są i w kształtowaniu się stosunku do przeszłości narodu i pojęć o naszem położeniu teraźniejszem.

Oddala to nas więc duchowo od przeszłości własnej, utrudnia należyte jej rozumienie, jeżeli wielcy ludzie dziejów naszych nie ukazują się nam jako wcielenie cech narodowych, najpełniejszy, najdoskonalszy wyraz polskiego typu, ale — odwrotnie — stają się wobec niego czemś poniekąd przeciwstawnem, jakgdyby zaprzeczeniem charakteru narodowego i stąd też w stałym, nieuniknionym będący ze zbiorowością konflikcie. W takiem ujęciu, nie znajdując w swojej historji s i e b i e, naród — rzecz prosta — przestaje się nią serdecznie interesować, nie współżyje psychicznie z pokoleniami dawnemi, obojętnieje dla przekazanego przez nie dziedzictwa.

Podobnież i obecnie, niełatwo uwierzyć, że źródłem siły staje się dla narodu przeświadczenie, iż jest on gorszy niżeli inne, i że to przekonanie wydobędzie zeń *maximum* energji twórczej, wykrzesze najwięcej entuzjazmu. To też trudno bez melancholji zastanawiać się nad faktem, że ta właśnie propaganda mikromanji jest nieomal jedyną suggestją, jaką od lat, z wielkim nakładem środków pieniężnych i pracy, narzuca się społeczeństwu polskiemu, w szczególności zaś najmłodszej jego generacji. Ileż wysiłków robi się np. w tym celu, aby wbić w głowy, że poprostu cały naród polski był upodlony, że nikt przed wojną nie pragnął u nas odzyskania niepodległości, poza „Nim jednym" i drobną garstką nierozumianych przez nikogo współpracowników. Ileż wysiłków robi się, by wytłumaczyć, że, po kilku latach rządzenia się samodzielnie, naród musiał znaleźć się na skraju przepaści, i musiał być coprędzej „wzięty za twarz", żeby nie upadł.

„Mikromanja narodowa" w Polsce dzisiejszej, jako przedmiot studjów, byłaby niezawodnie bardziej interesująca, niż „megalomanja narodowa", której tyle uwagi poświęca — jak wiadomo — prof. Bystroń. I wnioski z jej studjowania miałyby też o wiele ważniejsze znaczenie praktyczne...

JAN REMBIELIŃSKI

# GŁOSY

FORMUŁA: „WÓDZ NARODU" razić musi tem więcej, im głębszą treść nadamy słowu „naród". Z większą już o wiele racją moglibyśmy mówić „wódz państwa" — a przecież i w tem wyrażeniu drażni nas pewien, czający się w niem, nonsens. Polega on niezawodnie na tem, że w państwie wódz nie może nigdy odegrać tej roli, co w armji. Armji bez wodza wyobrazić sobie nie możemy; natomiast państwo bez wodza jest organizacją kompletną, istniejącą autonomicznie. Wódz stanowi część integralną armji, ale tylko improwizowaną porządku prawnego państwa. W porządku tym nie ma dla siebie przewidzianego miejsca. W pierwszym wypadku jest niezbędny, w drugim najczęściej zbędny. Czasem, wyjątkowo, możnaby jednak dorzecznie wyrazić się „wódz państwa" — ale tylko, gdy ma się na myśli zdobywcę czy organizatora, który państwo zakłada, albo gruntownie przekształca, albo bardzo znacznie rozszerza. Możnaby więc powiedzieć: „wódz państwa" — o Tamerlanie, o Bolesławie Chrobrym, o Cromwellu. W takich wypadkach zwierzchnik rzeczywiście dowodzi państwem, prawie tak jak wódz armją — państwo zaś jest plastyczne, rozlewne i zmienia kształty. Ale niech tylko zjawi się odrobina tradycji, niech skrystalizuje się porządek prawny — a wnet uwydatni się autonomiczność egzystencji państwa, uniezależniająca je od instytucji wodza. Im tradycja ta jest wyraźniejsza, im więcej w państwie „państwowców" — tem ostrzej w ich pojęciu kłócić się musi ze zdrowym rozsądkiem to wyrażenie: „wódz państwa". A przecież, jak zaznaczyliśmy, „wódz narodu", to nonsens o wiele jeszcze dotkliwszy. O „wodzu państwa" można mówić czasem — choć zrzadka; o „wodzu narodu" zaś, ściśle rzecz biorąc — nigdy. Naród bowiem w istocie jest wspólnotą cywilizacyjną; nikt w narodzie zaś nie może tak przewodzić i rozkazywać cywilizacji, jak wódz przewodzi armji. „Wódz cywilizacji" — nie, tej roli nie spełnia żadna jednostka w narodzie. I wyobrazić sobie niepodobna nikogo, coby tak na każdem polu mógł przodować, na każdem coś stworzyć, i na każdem pociągnąć za sobą masy. Istnienie cywilizacji jest w o wiele wyższym jeszcze stopniu autonomiczne, niż istnienie państwa, i nie wymaga absolutnie dowództwa kierowniczej, rozkazującej jednostki. Wyrażenie „wódz narodu" tem więcej ma sens, im więcej upodobnimy naród do luźnej gromady, którą wcielić możnaby do szeregów. W każdem głębszem atoli pojęciu, cywilizacja i naród do swego istnienia nie potrzebują ani P. K. U. ani Wodza.

# NAUKA i LITERATURA

## ODCZYT SEN. ROBERTA FORGES-DAVANZATI W KRAKOWIE

WRACAJĄC z konferencji międzyparlamentarnej w Warszawie i zatrzymując się po drodze dla zwiedzenia Krakowa, wygłosił w niedzielę dn. 20 stycznia r. b. w miejscowym Instytucie Włoskim, piękny odczyt o polityce zagranicznej Italji, jeden z kierowników rzymskiej *„Tribuna"* i faszysta *di prima ora* typu nacjonalistów Corradini'go, senator Robert Forges-Davanzati. Senator Forges, przemawiając do publiczności uniwersyteckiej, uwydatnił przedewszystkiem w swojem przemówieniu wartości kulturalne miasta uniwersyteckiego, jakiem jest dziś w wielkiej mierze Kraków. Ale, będąc przedstawicielem typu myślenia, który zajmuje się przedewszystkiem przyszłością narodu, dał do zrozumienia, że, w jego przekonaniu, nie szkodzi starym miastom i zabytkom estetycznie pomyślana modernizacja.

„Kiedy dzisiaj rano" — wyjaśnłał Forges — „szedłem w towarzystwie panny Nelli Nucci na Mszę do Panny Marji, oglądałem, głośny podobno, „dom pod kominami", w którego wartość architektoniczną tu nie wchodzę. Ale sama myśl stwarzania takich objektów na starych placach ma dawną za sobą tradycję, czego dowodem przybudówka kruchty barokowej do starej waszej gotyckiej fary".

Z niezwykłą nawet u łacinnika swadą analizował i apologizował dalej p. Forges wytyczne współczesnej polityki włoskiej: jej anty-genewskość, jej rewizjonizm i zarzucany jej militaryzm.

Co do punktu pierwszego, to stwierdził Forges, że polityka włoska tylko o tyle uchodzić może za antyligową, o ile nie uważa za realne posunięć Ligi, któreby wymagały nie będących w jej dyspozycji sankcyj. Z tem zastrzeżeniem nie poszły Włochy nigdy za przykładem Japonji, Niemiec, Hiszpanji i t. d.

Co do rewizjonizmu, to wywodził Forges, że nie kto inny, tylko życie zrewidowało już Traktat Wersalski i to w wielorakim zakresie, jak sprawy reparacyj, długów czy zbrojeń. Co do tych ostatnich, w szczególności zauważył senator, że Włochy od początku stały na stanowisku jedynie zgodnem z rzeczywistością, iż Niemiec nie zmusi się do rozbrojenia zapomocą papierowych jedynie przymusów. Tak wyglądała bowiem teza franko-angielska, póki w ostatniej „Białej Księdze" rząd Mac Donald — Simon nie przyznał się *tacite* do swego błędu.

W stosunku nakoniec do Polski, Forges, stwierdziwszy, że od Italji nie oddzielają jej już kilometry i granice w wieku radja, zaznaczył, iż pomimo świeżych ograniczeń importowych Mussoliniego, które godzą przedewszystkiem w państwa wysoce uprzemysłowione, obrót handlowy z Polską powinien raczej wzmódz się, niż ucierpieć.

Sala gromkiemi oklaskami nagrodziła maestrję oratorską, z jaką przemówienie senatora wypowiedziane było od początku do końca. K. M. M.

## Z RUCHU WYDAWNICZEGO

„Jak powstały Tatry?" Na ten temat jest wiele pięknych baśni ludowych i literackich, napisanych przez Wincentego Pola, Szujskiego i innych poetów. Ale zagadnienie powstania naszych gór zajmowało nietylko folklorystów i literatów. Ziemiorodztwem Karpat zajmował się przecie już wielki Staszic, od tego zaś czasu nauka polska znacznie posunęła się w wiedzy taterniczo-geologicznej. Wyniki tej wiedzy powinny być znane szerokim kołom miłośników Tatr, zwłaszcza młodzieży. W tej to myśli słusznie postąpiła księgarnia „Książnica-Atlas", wydając na ten temat przystępną i zajmującą broszurę E. Passendorfera, ozdobioną wieloma ilustracjami. Jeżeli o dziełach rąk ludzkich, budowlach, mówi się, że są to „żywe kamienie", tedy słusznie tę nazwę godzi się nadać górom, które żyją od wieków i nieraz z żywego organizmu się wytworzyły. „Martwota Tatr jest pozorna"—pisze p. Passendorfer: „Tatry mają długą i urozmaiconą historję, a obraz ich dzisiejszy to tylko jeden z ostatnich, względnie młodych i krókich epizodów... Były w historji Tatr okresy takie, w których na miejscu dziś dumnie sterczących turni szumiało głębokie i rozległe morze; były okresy, w których tworzyły się rafy koralowe, na podobieństwo dzisiejszych raf, budowanych na morzach tropikalnych; były okresy, w których Tatry, skute pancerzem lodowym wysyłały języki lodowców na północ i południe".

Do szerszych kręgów czytelniczych powinno przemówić wezwanie autora, by czytali w otwartej księdze przyrody. Sądzimy, że lektura książeczki Passendorfera ułatwi im to zadanie. (J. B.)

# TEATR

## „KRYSIA" W TEATRZE NARODOWYM

BOHATERKĄ tytułową nowej trzyaktowej sztuki Jerzego Szaniawskiego, wystawionej w Teatrze Narodowym, jest mała dziewczynka. Ale uspokójcie się, czytelnicy. Nie pokazano nam wcale jednego z tych widowisk, na które patrząc, widz wzywa w myśli interwencji towarzystwa opieki nad zwierzętami.

Szaniawski nie wprowadził na szczęście bohaterki tytułowej na scenę; zostawił ją za kulisami.

Krysia jest dzieckiem normalnem, mieszka w podgórskiej miejscowości. Pewnego razu poszła z dziećmi na spacer na łąkę i... przydarzyło jej się to, co się niegdyś przydarzyło Joannie d'Arc i wielu innym dziewczynkom: ujrzała postać niebiańską, która oświadczyła jej, że na terenie Małokłosów istnieją źródła wody leczniczej.

Zdarzenie owo wywołało wielką wrzawę. Do wsi rodzinnej Krysi, na wieść o „cudzie" zaczęły ściągać tłumy ludzi. Zarówno ciekawych, jak również pobożnych i chorych. Wypadkiem zainteresowały się gazety.

Wieść o nim dotarła do stolicy, gdzie mieszkał stryj wizjonerki, właściciel Małokłosów, bogaty pan prezes Porwitz.

Dla tego pana, człowieka interesu, wiadomość owa narazie była nieprzyjemnością. Krysię, „ubogą krewniaczkę", poczytał za istotę chorą psychicznie. Z głęboką przykrością podjął się misji zawezwania do niej słynnego psychjatry.

Niejaka panna Irena, narzeczona syna pana Porwitza, zwraca swemu przyszłemu teściowi uwagę, że w miejscowości, sąsiadującej z Małokłosami, istnieją źródła lecznicze, nie jest zatem rzeczą nieprawdopodobną, że w Małokłosach istnieją również. Od tej chwili zmienia się gruntownie stosunek trzeźwego aferzysty do sprawy „cudu".

Rodzina Porwitzów udaje się w komplecie do Małokłosów i, po zasięgnięciu opinji geologów, rozpoczyna wiercenia.

Ludzie ci w objawienie Krysi coprawda nie wierzą, nie są nawet pewni, czy się dokopią wody leczniczej (opinja geologów była niewyraźna), pewni są jednak, że jakąś wodę, na jakiejś głębokości znajdą. W najgorszym wypadku można będzie założyć zakład hydropatyczno-przyrodniczy, coś w rodzaju drugiego Kosowa. Ale przedewszystkiem trzeba wykorzystać rozgłos, wywołany przez Krysię. Małokłosy stały się przecież celem pielgrzymek z całego kraju: ciągną do nich tłumy kalek i kompanje pobożnych pątników z krzyżami i chorągwiami.

Porwitzowie mają za złe miejscowemu proboszczowi, że się tą sprawą nie interesuje, że nie chce do niczego się mieszać.

Panna Irena wpada na pomysł, żeby Krysię pokazać paru starannie z tłumu wybranym idjotom, przygłupom, bigotkom i histeryczkom (kalek prawdziwych do dziecka nie dopuszczają). Staje się „cud" bardzo pożądany dla reklamy przedsiębiorstwa: jedna z histerycznych paralityczek odzyskuje władzę w członkach. Ceny ziemi w Małokłosach idą w górę. Pan Porwitz sprzedaje za słone pieniądze drobne działki gruntu okolicznemu chłopstwu. W przyszłości obiecuje sobie sprzedawać ziemię nie na morgi, lecz na łokcie.

Mija szereg miesięcy. Zainteresowanie Krysią słabnie. Cudowne uzdrowienia jakoś się nie powtarzają. Wody nietylko leczniczej, lecz jakiejkolwiek ani rusz dokopać się nie można. Zawiedzeni chłopi, nabywcy gruntów pana Parwitzowych poczynają się burzyć.

Sztuka kończy się bankructwem imprezy i ucieczką Porwitza z Małokłosów.

Prosty monter, prowadzący roboty wiertnicze tak pod koniec trzeciego aktu przemawia do swoich pracodawców:

— Gdybyście mieli taką wiarę, jaką miała Krysia, to byście może do wody dotarli. Paralityczka ozdrowiała, bo wierzyła, ale wyście nie wierzyli i z cudzej wiary chcieliście zrobić interes, dlatego wody niema i nie będzie.

Utwór Szaniawskiego ma, jak widzimy, głęboką tendencję moralną, jest podniosły i szlachetny. Piętnuje spekulantów, którzy zastępują ideję, przekonanie, wiarę — wyrachowaniem — i z przekonań, wiary, idei — usiłują ciągnąć zyski.

Skomponowany został z całym nakładem mistrzowstwa dramatopisarskiego, jakiem rozporządza Szaniawski.

Odzwierciadla całą kulturę etyczną i artystyczną tego pisarza, a jednak, wyznaję, wzbudził on we mnie mniej entuzjazmu, niż „Ptak", „Żeglarz", „Most" czy „Fortepian". Mniej jest w „Krysi" poezji. Autor zastąpił ją dowcipem. Dowcipem wybornym, ostrym, przenikliwym, delikatnym, subtelnym, cienkim, wzbudzającym podziw, ale nie rozgrzewającym. Utwór jest zimny, pomimo mistrzowskiego rysunku figur, pomimo wybornie obmyślonych sytuacji, wspaniale wypracowanych efektów. Brak mu czegoś... Być może właśnie wiary. Szaniawski ustosunkował się do wizji Krysi tak jakoś neutralnie w akcie pierwszym, tak jakoś... objektywnie kazał nam patrzeć na „cud" uzdrowienia w akcie drugim, tak zaraził nas sceptycyzmem cynicznej panny Ireny, że nie byliśmy w stanie głębiej się wzruszać. Z tem większą trzeźwością, z tem większym krytycyzmem mogliśmy oceniać wysoką wartość pomysłów autorskich i precyzję ich zrealizowania.

Przedstawienie zostało znakomicie wyreżyserowane przez pana Aleksandra Zelwerowicza, który świetnie odtworzył rolę Porwitza. Akompanjowali mu: pani Gella, Pawłowski, Wasiutyńska. W rolach epizodycznych, z których każda jest wyborna, zachwycaliśmy się panią Łaską, panem Hajdugą, Fabisiakiem, Chmielewskim, Dereniem i Bogusińskim.

Dekoracje pana Jarockiego—bardzo dobre. S. G.

## „MATOŁEK Z WYSP NIEOCZEKIWANYCH" W TEATRZE POLSKIM

NAOGÓŁ wieści z szerokiego świata otrzymujemy zapóźno, i to przeważnie w postaci bałamuctw — ale za to co pewien czas poznajemy nawet przed Anglją najnowsze poglądy Shawa na lokalne sprawy angielskie. Siedemdziesięcioośmio-letni starzec tak zlokalizował swoje zainteresowania, że nawet jurysdykcję Sędziego Najwyższego na Sądzie Ostatecznym ograniczył narazie do imperjum brytyjskiego. Ufa snadź, że te miejscowe sprawy zaciekawią innych — i, jak widać, nie myli się. Wdzięczni zresztą jesteśmy teatrowi Polskiemu za zajmujące widowisko. Zwolennicy nowoczesnego tempa wdzięczni mu być mogli za sam pośpiech, nawet jeśli sztuką nie potrafili się szczerze zabawić. Przeszkodą była właśnie wspomniana niedbałość Shawa o to, żeby być zrozumiałym nietylko w kręgu ziomków. Autor nie poświęcił nic ze swej parafjańszczyzny, i wszystkie aluzje, niedopowiedzenia, szyderstwa i nauki przeznaczył właśnie tylko dla swoich. Sztuka ta może mieć właściwą akustykę tylko w klimacie zagadnień religijno-moralnych, nurtujących współczesną Anglję.

Zagadnienia religijne, jak wiadomo choćby z „Przygód Murzynki poszukującej Boga" — coraz bardziej starego Shawa zajmują. Mimo świetności swego talentu artystycznego Shaw należy do wyraźnych moralistów. Nie wystarcza mu morał ukryty, musi głosić nauki jak przewodnik duchowny, jak kaznodzieja. Nie brak mu po temu poczucia wagi zagadnień moralnych, ani zasobów retoryki i brak mu tylko metafizyki.

Zadziwiać musi ponownie w ostatniej sztuce zdolność starego Shawa do inscenizowania rozterek intelektualnych w teatrze. Jest to nadzwyczajny niewątpliwie dar przejęcia

widza własnem poczuciem znaczenia tych pasjonujących spraw — przy pomocy akcji i słowa. Główną sceną utworu, nierównie dłuższą i świetniejszą od poprzednich, krótszych i niezbyt ciekawych, jest akt końcowy, w którym szczęśliwą kolonję, eksperymentującą w zakresie wychowania, nawiedza Anioł, zapowiadający początek Sądu Ostatecznego — Sądu, który niebawem zaczyna się dopełniać nad mieszkańcami wyspy i nad Anglją. Narody bowiem poszły pod sąd boski po kolei. I zaczęto w Niebie od Anglji...

Ci, co nie potrafią usprawiedliwić swoich żywotów, znikają. I tak młodzież, wychowana na wyspie w myśl zasad Russelów i Ellisów, znika najpierw...

Scena ta obfituje w efekty wybornego dowcipu, przeniknięta jest przytem łagodnym humorem. Jednakże postaci nie mają życia indywidualnego: Shaw w pośpiechu publicystycznym pozbawił swych bohaterów psychologji. Symbolizują oni tylko ideje, ideały i herezje. Kończy się sztuka typowo shawowską tyradą ku czci człowieka — jednym więcej wyrazem mocnego zaufania w niewyczerpane siły twórcze ludzkiego gatunku.

Pociąga więc sztuka świeżością pomysłów inscenizacyjnych, błyskami wyobraźni poetyckiej i dowcipu — ale Shaw moralista nie ma w niej właściwie nic więcej do powiedzenia poza tem, że zagadnienia moralne są ważne. Zastajemy go w tej samej pozycji, w jakiej widzieliśmy tego atletę już nieraz. Od widowiska z początku ziało prawie nudą. Zapaśnik po staremu boryka się z tym samym przeciwnikiem: ze światem pojęć purytańskiej burżuazji angielskiej. Wróg nie pokonany i wciąż silny; i Shaw też nadal rześki. Ale technikę tej walki znamy już dobrze. Patrzącym na to starcie w teatrze wydaje się nieraz, że żaden z przeciwników nie ruszył z miejsca.

Przedstawia się więc nam Shaw ponownie, jako „lewicowy“ chrześcijanin inspiracji kalwińskiej. Resonans sztuki z tego powodu nie mógł być w Warszawie dobry. Publiczność angielska przywykła nawet w czasie zawodów wioślarskich na Tamizie widzieć unoszone nad tłumem transparenty z napisami takiemi, jak: „Jezus patrzy na was”. Myśmy jednak nie przywykli do tak pospolitego użytku haseł religijnych i cytatów z ksiąg świętych. Nie trzeba zapominać, że przyjmuje on, jako rzecz naturalną, że audytorja teatralne składają się tylko z chrześcijan. Spory teologiczne, jakie przed słuchaczów wytacza, są bądź co bądź sporami w rodzinie... Shaw nie jest autorem dla mniejszości narodowej, jakiej liczną domieszkę widzieliśmy na premjerze w teatrze Polskim. Przed taką widownią swobodne wywlekanie na scenę cytatów z Pisma Świętego wydawało się nieraz w najwyższym stopniu niestosowne.

Przekład bardzo marny, co już widać w tytule. „Wyspy Niespodzianki”, „Wyspy Bajeczne“ — ależ prawie każdy inny tytuł brzmiałby lepiej.

Aktorzy grali zespołowo nader starannie i poprawnie.

W. J. C.

## STAŁY REPERTUAR W TEATRZE NARODOWYM

TOW. krzewienia kultury teatralnej, zarządzające w Warszawie pięciu teatrami, uległo nareszcie pokusie opinji i jedną ze scen, mianowicie teatr Narodowy, przeznacza na teren pielęgnowania arcydzieł w stałym repertuarze. Decyzja ta w zasadzie idzie po linji wskazań St. Pieńkowskiego, który przed rokiem (nr. 8 z r. 1934) w „Myśli Narodowej“ poświęcił tej sprawie doskonały artykuł p. t. „Stały repertuar”. Są jednak odchylenia, spowodowane względami praktycznej natury i obawy... publiczności.

Kierownictwo teatrów (i wogóle sztuka) u nas patrzy na publiczność błagalnie, ale ze skrajnym pesymizmem. Utarło się, że Warszawa chodzi do teatru tylko przez snobizm, dopokąd nie wyczerpie się moda chodzenia na ostatnią nowość. Na stare sztuki chodzić nie lubi. Jest to psychika sztuki, lecącej na interes, nie mającej wiary w źródła wody żywej, ukryte w łonie cywilizacji narodowej. Dla tego samego powodu, nawet decydując się na stały dobór dzieł, teatr nie uwierzy, aby można było ograniczyć się doborem dzieł polskich jedynie.

Projekt tyczący teatru Narodowego poczyna sobie ostrożnie. Na razie przeznacza na dzieło wypróbowane tylko trzy dni w tygodniu, zostawiając resztę na nowość. Zniża ceny biletów na rzeczy stare, aby dać dostęp do teatru rzeszom szerszym. Do stałego repertuaru wciąga narazie to, co niedawno było grane z powodzeniem (Zemsta, Wielki człowiek do małych interesów, Klub Kawalerów, Rozbitki i t.p.), zarzekając się planu zgóry ułożonego, aby skompletować zgóry ułożony zespół arcydzieł. Wreszcie włącza do repertuaru sztuki obce (Intryga i miłość, Henryk IV, Poskromienie złośnicy).

Bądź co bądź będzie to krok naprzód, Warszawa zdobędzie się wreszcie na teatr, jaki posiada każde większe ognisko twórczości narodowej. Zdajemy sobie sprawę, że wykonanie takiego planu nie jest rzeczą łatwą. Ale kiedyż to zrobić, jak nie w warunkach obecnych, kiedy teatry są zespolone i można wogóle myśleć o podziale pracy. Trzeba tylko wierzyć w to, co trwałą (nie sezonową) wartością sztuki i tej wiary uczyć publiczność, nie demoralizując jej ciągłem (jak było dotąd) wtajemniczaniem w stan kasy, jako miary wartości. Lata całe o teatrze mówiło się tylko w związku z powodzeniem kasowem.

Teatr Narodowy odda wielką kulturze artystycznej przysługę i zaręczyć możemy, że siła jego atrakcyjna znajdzie się w prostym stosunku do wiary, jaką włożą w robotę jego kierownicy. Potrzebna jest tutaj wiara w życie cywilizacji narodowej, wyjawiające się w twórczości. W.

# MUZYKA

## TEATR WIELKI. „Straszny Dwór” opera Stanisława Moniuszki (wznowienie).

SARMATYZM jest niewątpliwie jednym z najciekawszych przejawów naszej narodowej cywilizacji, a ileż się na nim psów nawieszało i wiesza w dalszym ciągu z przyzwyczajenia, głupoty i najprostszej bezmyślności! Nie podobał się kiedyś idącym z duchem „oświeconego“ wieku sferom wyższym, które raziła podgolona głowa, tak inna od ludwikowskich peruk, czy rewolucyjnych kędziorów *„à la Titus“*, krzywa szabla, barokowy ukłon i owe „ciemne przesądy“, a więc „bigoterja“ czyli silna, żarliwa wiara, „kołtuństwo“ czyli przywiązanie do tradycyj i t. d. Gromada rozbawionych i przemądrzałych panków, egzaltujących się idejami zrodzonemi w zabobonach wolnomularskich biła brawo, kiedy ktoś ośmieszał prostaczków, tych samych, którzy w wieku XIX-tym, najcięższym okresie niewoli dali warstwę walczącą bez granic ofiar i przodującą swoim wyraźnym, a przeto i mocnym typem cywilizacyjnym. „Dwór“ czy „dworek“, „pani“ czy „matrona polska“, „panna ze dworu“ czy „panicz“ zdają się być dla nas jakiemiś niezbędnemi wprawdzie, ale tylko akcesorjami tego okresu, takiemi jak „sekretarzyk serdeczny“ i „zegar kurantowy“, a są to przecież postacie żywe, bohaterowie największej tragedji narodowej. „Matrona polska” dawała synów na śmierć, „panna ze dworu“ opatrywała rany „panicza“, a pan szedł do miasta unosząc ze skonfiskowanego „dworku“ „zegar kurantowy“, przypominający co godzina nuty „starego Dąbrowskiego mazurka“, oraz „sekretarzyk serdeczny“, przechowujący zaschłe, skrwawione bandaże i krzyże wojenne.

Cały ten piękny i ciekawy świat począł zanikać w tyglu przemian społecznych i politycznych ostatnich lat ubiegłego stulecia. Poczęły rosnąć bezstylowe miasta i powsta-

wać typ nijakiego „inteligenta“. Pozostały jeszcze na roli ziemianin przybierał wygląd „zachodni”, według recepty hrabiego z „Lalki“, co to uważał, że szlachcic powinien być tylko i wyłącznie w stylu angielskim.

Stanisław Moniuszko i jego sztuka należy do świetnych, trudno inaczej określić, wykwitów sarmatyzmu, czyli rasowej polskości. Trzeba sobie to przecież uzmysłowić, że po to, ażeby mógł napisać „Straszny dwór“, musieli przedtem jego ojcowie ciągnąć nieraz całemi dziesiątkami mil, często gęsto na swoich jedynie nogach, ażeby potem na polu elekcyjnem własnogębnie okrzyknąć nowego króla; albo „z kozaki iść na wojnę“, harcować po Dzikich Polach, a swoją krwią tworzyć takie fakty historyczne, jak odsiecz wiedeńską, pełną chwały obronę cywilizacji. To też wartości moniuszkowskich tam szukać należy, a nie w odważaniu tego lub innego taktu, z jednoczesnem kręceniem głową nad ubogą harmonją i niewyszukaną formą. Ludzie porównujący go pogardliwie do prymitywu nie zdają sobie wcale sprawy, że w tem niewyszukaniu przebija się przecież owa, tak dla naszej sztuki charakterystyczna linja naiwna, która w architekturze wyrafinowanemu barokowi potrafiła nadać piętno prostej, budującej pokory.

Moniuszko, to szlachcic ubogi, przymierający nieraz głodem, pożyczający parę groszy na obiad, ale herbu „Krzywda“, z którym mu niezwykle do twarzy. Inaczej jest, gdy na kontusz usiłuje wdziać sukmanę. Czuć tu zaraz jakiś świat, nie obcy wprawdzie, ale i nie ten sam. To też „Halka“ robi na mnie wrażenie nieco podobne do pocztówek Walerego Eljasza, ciągnącego wślad wózka Chałubińskiego z ciupagą i kapeluszem „panama“ na głowie.

„Straszny Dwór“ to co innego. To najlepsza opera polska. Szczera, bezpośrednia, prawdziwa. Trudno więc było czemkolwiek wytłumaczyć brak jej w repertuarze stołecznej Opery, chyba tylko ostatecznem, karygodnem niechlujstwem. Obecnie na szczęście wznowiono ją i pokazano. Jak?

Inscenizacja poszła po linji realistycznej. Jest w tem takie nieporozumienie, jakie wogóle tkwi w realistycznem traktowaniu opery. Prawda, że wysiłek teatru zrobił wiele, ażeby dać pozory prawdy. Wysiłek, bo i w tym kierunku nie zrobiono wszystkiego. Dobre na tymczasem i to. Ale tylko na tymczasem. Bo należy jaknajprędzej wziąć się do „Strasznego Dworu“ i pokazać go w pełnem słońcu. Wymagać to będzie dużej pieczołowitości i niemałego nakładu pracy. Jest to nietylko potrzeba, ale konieczność. Jeśli nas stać (widocznie) na obdzielanie tysiącami złotych zbiegowiska żydowskiego na międzynarodowych konkursach o wątpliwej wartości propagandowej, nie można byle czem opędzać oprawy scenicznej takich dzieł sztuki, jak „Straszny Dwór“.

Radzibyśmy byli, ażeby głos nasz był pierwszym z tych, które się kategorycznie o to upomną.

W. NARUSZ

# ZMARLI

## Ś. P. JAN MICHAŁ ROZWADOWSKI.

W DNIU 14 bm. zmarł nagle w Warszawie b. prezes Akademji Umiejętności, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego, znakomity językoznawca i myśliciel ś. p. Jan Michał Rozwadowski.

Urodzony w r. 1867 w Krakowie, studjował najpierw filologję klasyczną na Uniwersytecie Jagiellońskim, poczem w Lipsku odbył studja językoznawcze. Mianowany w r. 1899 profesorem językoznawstwa indoeuropejskiego w krakowskiej wszechnicy, pracował na tej placówce naukowej i pedagogicznej aż do ostatniej chwili przez lat 36. Ś. p. prof. Jan M. Rozwadowski był doktorem honorowym uniwersytetu warszawskiego, w roku 1925 objął po prof. Kazimierzu Morawskim prezesurę polskiej Akademji Umiejętności, ustąpił tej godności prof. Kostaneckiemu w r. 1927. W tymże roku — w 60-lecie urodzin prof. Jana M. Rozwadowskiego — urządzono uroczysty jubileusz dla uczczenia jego zasług naukowych i wydano drukiem 2-tomową księgę, przez lingwistów polskich i obcych napisaną, p. t. *„Symbolae grammaticae in honorem Joannis Rozwadowski“*.

Z pośród licznych prac naukowych ś. p. prof. Jana M. Rozwadowskiego należy wymienić z dziedziny języka polskiego jego cenną „Historyczną fonetykę języka polskiego” (wyd. w 1915 r.), oraz „Ze studjów nad nazwami rzek słowiańskich”, dalej prace z zakresu języków celtyckich, a z dziedziny językoznawstwa ogólnego — studja nad semazjologją.

Prof. St. Szober w życiorysie zmarłego pisze:

„W sposobie ujmowania i rozwiązywania tych różnorakich zagadnień uwydatniała się w pracach Rozwadowskiego jedna charakterystyczna dla każdego niepospolitego umysłu naukowego cecha: zdolność łączenia wnikliwej i skrupulatnej analizy z potrzebą syntezy i umiejętnością wydobywania jej z badanych faktów. Umysł Rozwadowskiego wiązał się z faktami, ale umiał w ich mikrokosmie dostrzegać prawa, rządzące nurtem całego życia.

Wyniki swoich badań w zakresie językoznawstwa ogólnego Rozwadowski tak sam scharakteryzował przed kilkunastu laty: „Sformułowałem kilka spostrzeżeń, które zakresem swego uogólnienia może zasługują na nazwę „praw”, a mianowicie prawo dwuczłonowości, stwierdzające, że podstawą każdego tworu językowego, o ile jest wyrazem jasnej apercepcji, jest dwuczłonowość; dalej prawo ilościowe rozwoju językowego, stwierdzające, że różnica między parami tworów językowych musi przedstawiać pewną stałą ilość: jeżeli spadnie poniżej tej miary, to jeden twór, jako samodzielny, ginie; jeżeli się wzniesie ponad tę ilość, to powstaje nowy, samodzielny twór; wreszcie prawo dysautomatyzacji, orzekające, że zasadniczą przyczyną ewolucji w twórczości językowej, równie dobrze, jak w całej twórczości kulturalnej, jest ciągła potrzeba odświeżania zużywającego się przez automatyzację czynnika uczuciowego” („Polska w kulturze powszechnej”, dzieło zbiorowe pod redakcją F. Konecznego, t. II, 133—4. Kraków 1918).“

Rozprawa ś. p. Rozwadowskiego o prawie automatyzacji i dysautomatyzacji stanowi wybitną pozycję w naszej literaturze filozoficznej. Takiż charakter ogólny ma jego ostatnia książka p. t. „Prawda życia”. Właśnie przybył do Warszawy, aby w Tow. Naukowym wygłosić odczyt, streszczający tę kwestję. Odczyt zrobił głębokie w świecie naukowym wrażenie. Na dworcu kolejowym, gdy wracał do Krakowa, zmarł nagle. Pochowany w Krakowie.

Społeczeństwo polskie traci w ś. p. Rozwadowskim utalentowanego uczonego i wybitnego obywatela, człowieka twórczego w wielkim stylu najlepszych tradycyj polskich.

W.

## Ś. P. JAN ROZWADOWSKI

W OSTATNIEJ chwili dowiadujemy się o śmierci ś. p. Jana Rozwadowskiego, ekonomisty, wybitnego członka zarządu Stronnictwa Narodowego we Lwowie.

Dziwnym zbiegiem okoliczności śmierć ta nastąpiła w kilka dni po nagłym zgonie dalekiego krewnego, Jana Michała Rozwadowskiego, którego nekrolog podajemy wyżej. Była to również śmierć nagła, zaskoczyła go także w Warszawie, dokąd na czas krótki przybył.

Obszerniejszą wiadomość o życiu i zasługach ś. p. Jana Rozwadowskiego podamy w następnym numerze.

# ZE STAROPOLSKIEJ POEZJI MIESZCZAŃSKIEJ

## I. SEBASTJAN FABJAN KLONOWICZ

(z „Roxolanii")

Tu na przedmiejskich kałużach się wiodą
Chałupy żydów, obdartych nędzarzy:
Każdy, jak kozieł oszpecony brodą,
Z wieczną bladością na uściech i twarzy.
Niesfornym krzykiem wre ich synagoga,
Wrzeszczą w sto głosów modlitwę szabatu,
Ich ślepa ciżba urąga się z Boga
I prosi o to, co już dano światu.
Spytasz: przecz wilka wpuszczać do owczarnie?
Co tutaj robi ów chytry ród węży,
Nieprawe zyski najłapczywiej garnie
I srogą lichwą ubogich ciemięży.
Wszak robak dębu nie wyniszcza razem,
Lecz go na próchno przegryza pomału;
Jak rdza się pastwi nad twardem żelazem,
Mól szkodzi sukniom, a pijawka ciału,
Tak żyd-włóczęga przez sztukę bezprawi
W ciało społeczne wpije się i wroście,
Nasze bogactwa pożre i przetrawi,
Pochłonie wszystkie kraju posiadłoście.
Obaczą króle, skąd straszliwa rana,
Rzeczpospolita jęknie po niewczasie,
Gdy krew z jej ciała będzie już wyssana
I wszelkie życie obumarłem zda się.

(Przekład Wł. Syrokomli)

## II. PIOTR GORCZYN

(„Zelus Korony Polskiej na złe dzisiejsze obyczaje")

Żyd swą przewagą wszystkiego dostaje,
Arendy trzyma, poddane, rataje,
Trudno żywności już dostać inszemu,
Zwłaszcza nędznemu...

Ktoby wyliczył? obaczmy to sami,
Co mamy czynić z temi szkodnikami,
Odjąć im dobra a do Tatar z nimi,
Wielce szkodnymi.

Już dziś nikomu nie kupić, ni przedać,
Już do posady tylko żyda żądać,
Żyd już doktorem, żyd i rzemieślnikiem,
Żyd i złotnikiem.

Niechaj kto palec zakrzywi na żyda,
Niech żartem rzecze, żeś ty zła ohyda,
Dostanie prędko żyd sprawiedliwości,
A bez trudności.

Obądź świat wszystek wkrąg, nigdzie wolnośei
Nie mają takiej, jako w polskiej włości,
Bo tu o co się pokuszą, dokażą,
Z twoją urazą.

O mężoburcy! o nieszczęsne plemię,
Pożal się Boże, żeście kiedy ziemię
Opanowali Polską i jak chcecie,
Rozkazujecie.

Wszystko mamona pokrywa przeklęta,
Przed którą stęka sprawiedliwość święta,
Stąd plagi pańskie w Polsce zakwitnęły,
Cnoty zginęły.

# NOWE KSIĄŻKI

Górski Artur. Myśli zebrane (wygłoszone przez Radjo). Warszawa. Nakładem Polskiego Radja. S. 202.

Cervantes. Przygody Don Kichota w przekładzie E. Boyé. Z 15 rys. Warsz. Książnica-Atlas.

Chlebowski Bronisław. Literatura polska porozbiorowa jako główny wyraz życia narodu po utracie niepodległości. Wyd. II przejrzał i dopełnił Leon Płoszewski. Lwów 1935. Zakład Nar. im. Ossolińskich. S. 616.

Brandstaetter Roman. Jerozolima światła i mroku. Poemat. Warsz. 1935.

Waszak Stanisław. U źródeł naszego ubóstwa. Poznań 1935. S. 40.

# NA MARGINESIE

Akademik Literatury, Kaden-Bandrowski wygłosił w szeregu miast niemieckich odczyt p. t. „Nowe wartości w narodowem życiu Polski". W opublikowanym teraz tekście tego odczytu („Pion") widzimy, że mówił tylko o swoich wyobrażeniach mitologicznych na temat niepodległości. Ale mówił w taki sposób, że wątpliwą jest rzeczą, czy Niemcy zorjentowali się w tych wartościach. Oto przykład:

„Zwycięski duch wśród wszystkich klęsk!—to głos dziejowego dzwonu, który bije we wszystkich przedsięwzięciach tego człowieka, bez którego (?) mąż ten nie poprowadzi nigdy swych ludzi, by śmierci w oczy spojrzeli".

Jakaż to biedna myśl, skoro nie może znaleźć dla siebie wysłowienia.

*

Ktoby się spodziewał, że formułki dekretu prasowego „Nieprawdą jest...", „natomiast prawdą jest..." staną się punktem zwrotnym w dziejach naszego postępowania honorowego, i że za ich pomocą będzie można w sposób chyba najprostszy odpierać rozmaitego rodzaju zarzuty.

Weźmy kilka urywków ze „sprostowania urzędowego", nadesłanego „Gazecie Radomskiej" przez niejakiego E. Ledóchowskiego, komornika z Ostrowca:

„Powołując się na obowiązujące przepisy prasowe, proszę o zamieszczenie w najbliższym Nr. czasopisma „Gazeta Radomska"...

„Nieprawdą jest, jakobym ja, niżej podpisany, Eugenjusz Ledóchowski, był 4. brygadowcem, natomiast prawdą jest, że nigdy do żadnej brygady nie należałem...

„Nieprawdą jest abym był spryciarzem, szelmą, natomiast prawdą jest, że po wieloletniej służbie w charakterze urzędnika sądowego, mianowany zostałem komornikiem w Ostrowcu i t. d....

„Nieprawdą jest, że jakoby sanacja wyrzuciła mnie na zbity łeb w tych dniach, natomiast prawdą jest, że z sanacji wyrzucony nie zostałem.

„Nieprawdą jest, jakobym się pchał do wszystkich instytucyj społecznych z waseliną a wyleciał bez waselinki, natomiast prawdą jest, że do straży pożarnej zaproszony zostałem przez czcigodnego prezesa i t. d...."

*

Urywek z podsłuchanej rozmowy:

— Widzi pan, jak Hitler wciąż i wciąż daje narodowi okazję do entuzjazmu: wprowadzenie powszechnej służby wojskowej, powrót Saary do Rzeszy.,.

— Wszystko to bagatela! Jakaś tam zmiana właścicieli małego zagłębia... Myśmy zmienili właściciela całego państwa — zapomniał pan już o obchodach ku czci nowej konstytucji?

*

Z teki Marcjalisowej.

Upaństwowiacze wpadli na myśl niebotyczną,
By upaństwowić także prawdę historyczną.
Przerażonej tem Klio rylec wypadł z dłoni...
A właśnie trzy sąsiadki przyszły w goście do niej,
Trzy Parki. Więc bezzębna zaśmiała się Kloto:
„Nic sobie z tego nie rób, nie troskaj się o to.
Bo niech upaństwowiacze jako chcą się głowią,
Niech wszystko upaństwowią — nas nie upaństwowią.
A gdy rzecz przyjdzie kiedyś do nas — losów prządek,
Z upaństwowioną prawdą zrobimy porządek.
Ty zaś mieć tylko będziesz nowy temat w zysku.
Niemasz przeto powodu wcale do utysku,
Boć to tylko twa korzyść że czytając dzieje
Umęczony czytelnik czasem się rozśmieje".

(S. S.)

## TREŚĆ:



Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9,** półrocznie zł. **17,** rocznie zł. **32,** zagranicą kwart. zł. **12,** półroczn. zł. **24,** rocznie zł. **45.** Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM